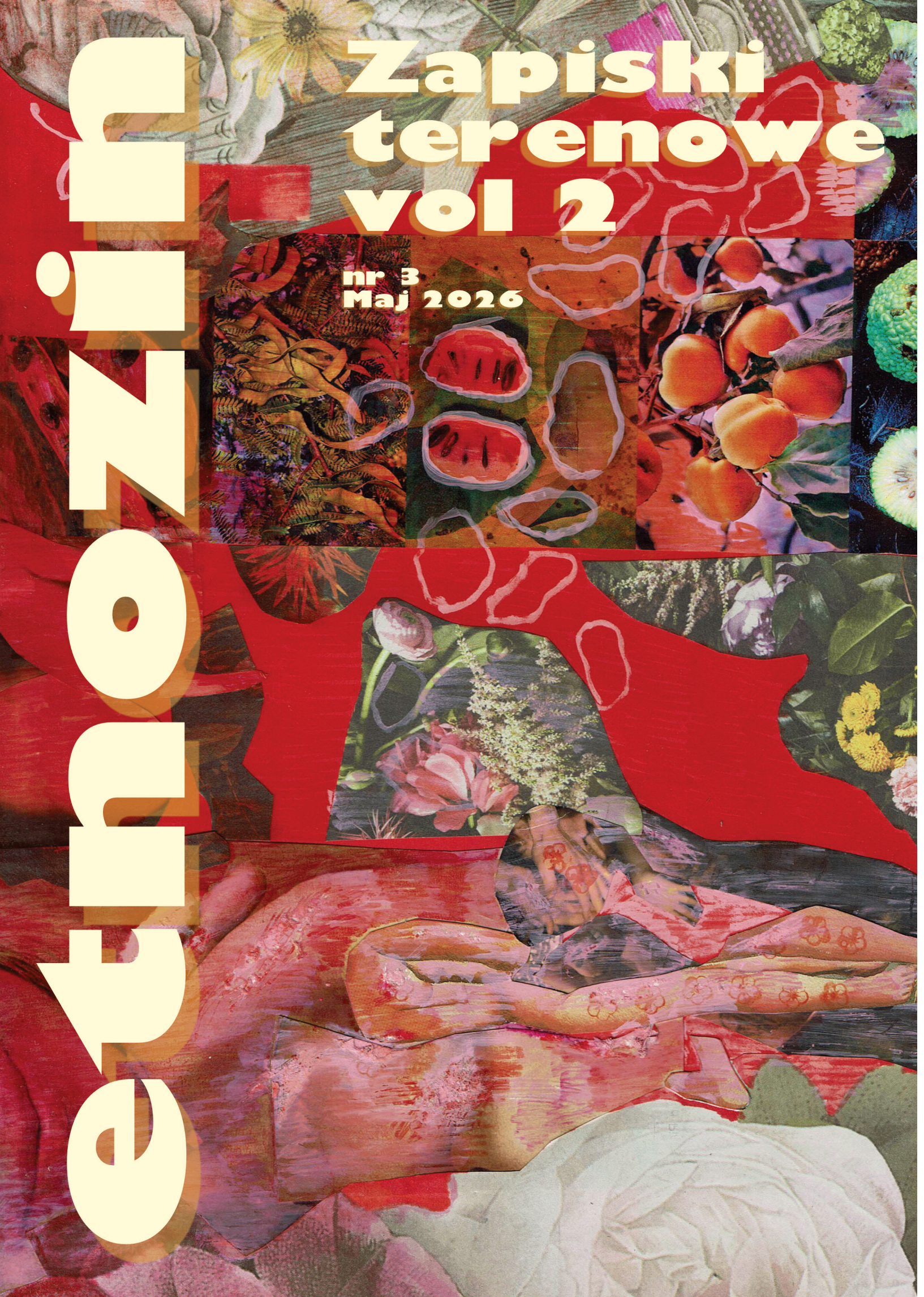


WIZYJNE

Zapiski terenowe vol 2

nr 3
Maj 2026



Kilka słów wstępu

Cześć!

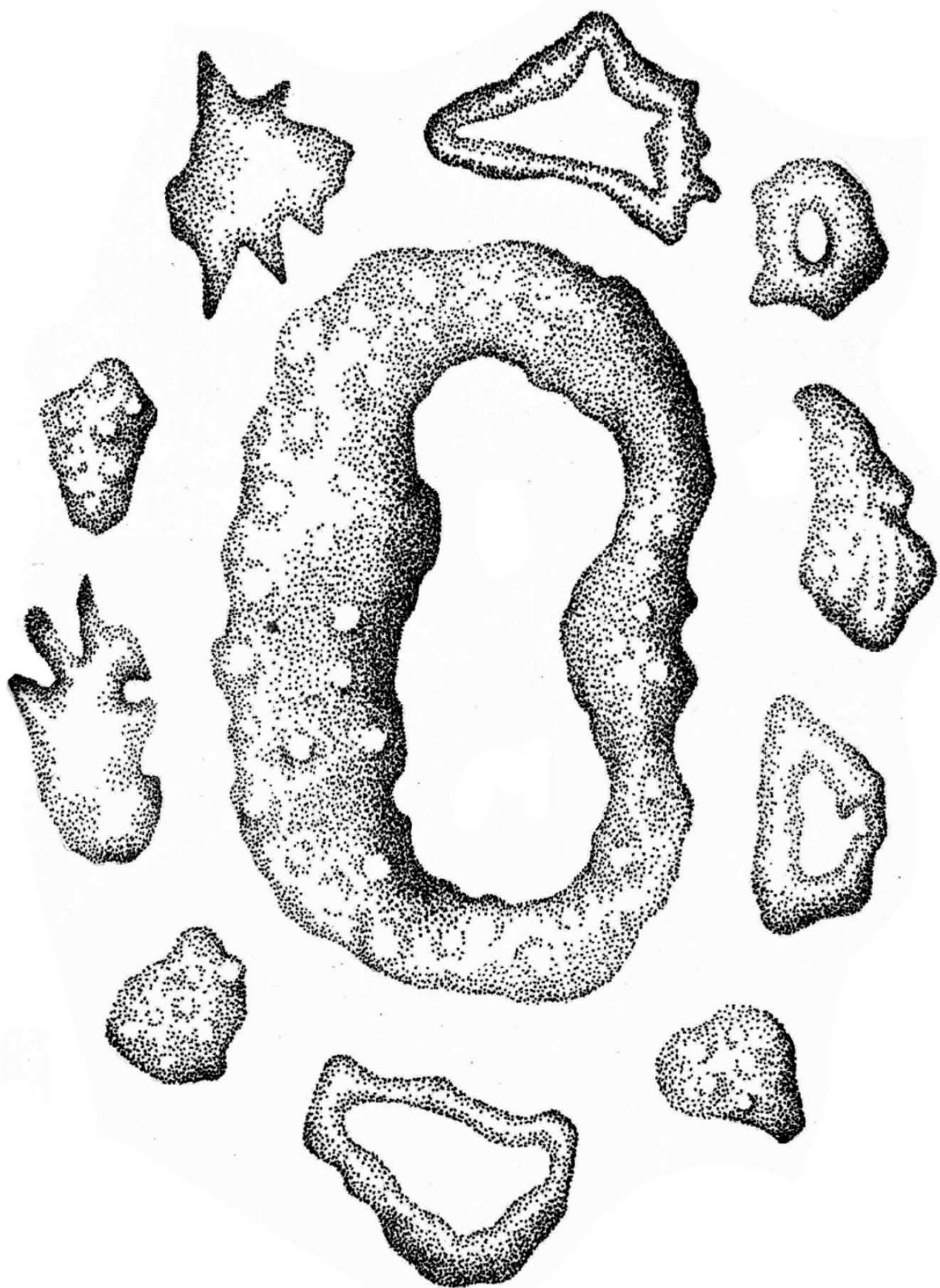
Etnozin to projekt współtworzony przez osoby studenckie i absolwentki z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Naszym celem jest stworzenie przestrzeni dla młodych badaczy i badaczek do dzielenia się doświadczeniami, przemyśleniami i refleksjami z badań terenowych. Nie jesteśmy pismem akademickim i nie publikujemy artykułów naukowych. Interesują nas eseje, notatki terenowe, impresje a także formy bardziej literackie.

Trzeci numer jest kontynuacją zapisków terenowych. Prezentujemy zbiór tekstów dotyczących pierwszych spotkań w terenie oraz wynikających z nich doświadczeń, refleksji i wyzwań a także teksty będące zwyczajnie antropologicznymi refleksjami o obserwowanej przez nas rzeczywistości. W tym numerze dowiecie się, skąd wziął się sos słodko-kwaśny, w czyją rolę wcieliła się Joanna Senyszyn w czasie Dni Ateizmu w Warszawie oraz dlaczego etnograf jest krwiopijcą. Przeczytacie też o tym, dlaczego antropolożki czasem bardziej niż dyktafonu potrzebują gazu pieprzowego oraz w czym podczas wywiadów może nam pomóc tzw. twarz pokrzyzisty. Dowiecie się również, że wielogodzinne chodzenie po plaży może być pełnoprawną metodą naukową, zaś scrollowanie forów internetowych o trzeciej nad ranem to również „bycie w terenie” a nie forma prokrastynacji. Przyjrzymy się temu, jak to jest prowadzić badania „na własnej skórze”, jak pochodzenie badacza wpływa na jego odbiór przez rozmówców oraz z czym wiąże się uprawianie stand-upu, kiedy jest się Białorusinem. Przeniesiemy się też do polskiego sadu i do warszawskiej Hali Mirowskiej, a także zastanowimy się, kiedy tak naprawdę zaczyna się podróż.

Autorką okładki jest Lola Tosia Lisicka. W trzecim numerze za ilustracje odpowiedzialna jest Martyna Sitko – studentka Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, ilustratorka, tatuatorka i autorka zinów. Serdecznie dziękujemy wszystkim osobom autorskim, graficznym oraz osobom pracującym nad składem i redakcją za ogrom pracy włożonej w to wydanie. Premierę trzeciego numeru uczymy, celebrując Dzień Działacza Kultury! Spieszmy się doceniać osoby działające w kulturze – tak szybko odchodzą do korpo.

Wszystkiego najlepszego i zapraszamy do lektury!

ZESPÓŁ ETNOZINA



Historyjka krótka o zapachu roundupu

(z zaznaczeniem, że sam glifosat jest bezwonny, a roundup to mieszanie wielu substancji i to właśnie te inne są owego zapachu źródłem)

JÓZEK NOWOSIELSKI

Suchy, sosnowy las. Jaki tam zresztą las – zagajnik, teren zalesiony co najwyżej, no drzewa po prostu. Mazowiecki piach, 28 stopni ciepła i szwankujący zasięg. Warunki – mówiąc krótko – mało sprzyjające. Nagła zmiana scenerii – podmuch agresywnie nagrzanego wiatru przynosi dobrze znany mi zapach, spektakularnie niepasujący do otoczenia i uparcie kojarzący się z czymś słonym, metalicznym.

Ach, wspomnienia! Niepewność, gdy pierwsze kropelki rozpylanej po łące cieczy osiadły mi na butach. Strach, gdy trochę tej cieczy wraz z papierosowym dymem znalazło się w moich płucach. M., tłumaczący, że to oszczędność i wygoda – łąka nie będzie zarastać krzakami. Dzięki temu łatwiej będzie ją sprzedać. Dziesiątki kilometrów przejechane po pasiastym krajobrazie, wśród równych, wypalonych rzędów niskich drzew – pachnących właśnie tak.

Za następnym zakrętem pomiędzy drzewami dojrzałem plantację porzeczek. Tak pachnie tylko roundup – wiem to, bo ten zapach mnie prześladowuje. Śni mi się po nocach.

Co gorsza, nie jest to zapach szczególnie nieprzyjemny. Z bezpiecznej odległości (przestrzeni bądź czasu) roundup pachnie raczej jakoś tak... słono, niemal morsko. Ktoś by powiedział, że to właściwie zapach świeży... jak morderczy odświeżacz powietrza unoszący się w sierpniowym zaduchu.

Glifosat to podstawa jaśnie nam panującej cywilizacji. Najczęściej stosowany herbicyd na świecie. Herbicyd nieselektywny – co popsiukasz, to zginie. Oszczędnie mówiąc – opryskana roślina umiera z głodu. Wspaniała sprawa.

Działanie wszechstronne – etykieta informuje o cudownych rezultatach w zwalczaniu perzu właściwego oraz rocznych i wieloletnich chwastów jedno- i dwuliściennych.

Załączona do opakowania *informacja ekologiczna* zapewnia: „substancja/mieszanina nie zawiera składników uważanych za posiada-

jące właściwości zaburzające funkcjonowanie układu hormonalnego według Artykułu 57... [szereg biurokratycznych uzasadnień]”.

Możemy spać spokojnie – układu hormonalnego nie zaburza. Round-upu nie można jednak wdychać, etykieta wyraźnie przed tym ostrzega, a jej ton zmienia się z uspokajającego, na bardzo poważny: „Przenieść na świeże powietrze. Zapewnić poszkodowanemu ciepło i spokój. Natychmiast skontaktować się z ośrodkiem zatruc lub lekarzem”.

Spokój, najważniejsze to zachować spokój.

Dla kogoś takiego jak ja – pochodzącego z grzecznej, podwarszawskiej *granola family*, pełnej hipokryzji i od zawsze kupującej absolutnie najbrudniejsze ziemniaki – roundup był i jest problemem.

Otoczony informacyjnym chaosem, pozostaje bezpiecznie ukryty za chmurką spiskowej teorii dziejów. Już samo jego istnienie i warzywniakowa wszechobecność sprawia mi nie lada dyskomfort w życiu codziennym. A tutaj przyszło mi pracować z ludźmi, dla których jest to kluczowy składnik codzienności. Oszczędzacz czasu i pieniędzy, słowem – zbawiciel.

Wypracowałem metodę (nie)skutecznego rozmawiania o chemii – niezręczna cisza i głośne przelknięcie śliny. Słaba, ale brak mi kompetencji potrzebnych do wypracowania lepszej.

Ja nikogo nie oskarżam (no chyba że Monsanto, dzisiaj własność Bayera – tego od aspiryny), a i bronić nie ma się komu (no chyba że Monsanto, dzisiaj własność Bayera – tego od testowania leków na więźniach Dachau i Auschwitz). Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę to, *ile chemii jest używane w produkcji gryki, owsa... wszystkich zbóż, ziemniaka, cebuli... wszystkich warzyw korzeniowych. Najbardziej szkodliwy glifosat używany do równomiernego dochodzenia zbóż, a my [sadownicy] glifosatu używamy dwa razy w roku.*

Mimo wszystko ton rozmowy jakby się zmienia, kiedy sąsiad, dołączysz do nas na chwilę, nieopatrznie pyta się o następną dostawę *Siuwaxu pana X*.

To niespokojny temat. Mnóstwo tłumaczeń i krzepiących komentarzy.

Rozmowa w hali-sortowni: *Robota niszczy zdrowie* – mówi P. – *ja mam stan przedastmowy*.

Okres karencji dla jabłoni, gruszy, śliwy, czereśni, wiśni, porzeczki (czarnej i czerwonej), agrestu, borówki wysokiej, leszczyny pospolitej i orzecha włoskiego – 28 dni. Dla winorośli może być szybciej – 14 dni, a zwierzęta mogą być wpuszczone na pastwisko już po 21 dniach. Idziemy siódemkami.

Przychodzę, legitymizuję się uniwersyteckim majestatem, reprezentuję naukową powagę, a jednocześnie – w głębi duszy – wstydzę się tego powiązania.

To przecież naukowy światopogląd (i odrobina wojny oczywiście) stworzyły glifosat i resztę tego towarzystwa, selektywnego bądź nie.

No to jak? Chyba pan student nie jest antynaukowym szurem?

Trochę jestem.

Z dobrą miną, na krzywy ryj

(zdjęcia:
Stanisław Szyszkowski)

STANISŁAW SZYSZKOWSKI

Etnograf jest krwio pijcą. Wchodzi po zaproszeniu, uśmiecha się i potakuje, zje poczęstunek i z nadmierną uwagą wysłucha wszelkich twoich żali – ale nie zbawi cię. Etnograf jest szpiegiem i plotkarą. Wyciąga z ciebie informacje, dowiaduje się o sąsiadach. Podasz mu swoje imię, a zawładnie tobą. Etnograf jest nieszkodliwym idiotą. Zada parę pytań, popełni gafę lub dwie i może uda się go szybko splawić. Studentka etnografii to cel twoich ostatnich zalotów, sama i daleko od domu, a to że masz trzydzieści parę lat, nie jest ważne. Etnograf to archeolog, kopiący w pamięci ludzkiej, ponownie odkrywający wiedzę. Trudno mi zadeklarować, że jestem etnografem, lub określić, co by to miało oznaczać. Etnografowałem parę razy i stąd są te myśli.

Wyruszamy w teren z zamiarem przeprowadzenia wywiadów i obserwacji, ale to my jesteśmy obserwowani. To, jak jesteśmy postrzegani w terenie, fundamentalnie zmienia to, jak ludzie z nami rozmawiają, a wrażenie o nas niesie się dalej i szybciej niż się tego spodziewamy. Przytrafiają się nam szczęśliwe przypadki, gdy ktoś wpuszcza nas, ponieważ słyszał o nas od sąsiada czy widział nas w kościele na niedzielnej mszy. Jeszcze przyjemniej jest dostać podwózkę od kogoś, kto



kojarzy, że ostatnio jego schorowaną babkę odwiedziła i rozweseliła para nieszkodliwych studentów. Nie chcę myśleć o tym, jak inaczej mogłoby iść nam w terenie, gdybyśmy zrobili na rozmówcach negatywne wrażenie. Sytuacje takie nie są tylko zrzędzeniami losu. Wynikają również z naszych zachowań i nastawienia w terenie, którego teoretycznie po-

winniśmy się pilnować. W praktyce jednak wychodzi to różnie, czasami ze względu na wycieńczenie, innymi razy ze względu na nasze bezpieczeństwo.

Bycie w terenie myślami bywa trudne, za nami podążają wszelakie niedomknięte sprawy i znajomości z naszego codziennego życia. Jeszcze trudniej znaleźć czas na robienie



notatek: na kolanie pod drzewem, na fotelu wieczorem po dniu pracy, kiedy chce się tylko spać lub porozmawiać z przyjaciółmi. Mam tyle szczęścia, że przynajmniej nie jestem w terenie obiektem zalotów, ale nie wszyscy są w równie komfortowej sytuacji. Najbardziej nieprzyjemnymi zdarzeniami na badaniach, które mi się przytrafiły, było słucha-

nie żartu o gwałcie lub upadek z roweru, właściwie nieistotne wypadki.

Podczas szukania wywiadu dochodzi do pewnej selekcji rozmówców. Zrządzenia losu, strach przed zapukaniem do tych konkretnych drzwi, temat dotyczący konkretnej grupy – nie da się opanować tych czynników w pełni, ale trzeba być ich świadomym. Teoretycznie dobrze jest rozmawiać z każdym i ciągnąć za wszystkie nici, jakie znajdziemy, czasem jednak rozsądniej byłoby z niektórych zrezygnować.

Nie mam oporów przed wchodzeniem, wkręcaniem się czy też wpychaniem w dziwne miejsca, przez plac budowy, lokalną elektrownię, przedszkole, podstawówkę, pogrzeb lub przyjęcie imieninowe. Czasami może to zaowocować ciekawą anegdotą lub dobrym wywiadem, bywa jednak, że skutkuje to utknięciem w niewłaściwym miejscu albo na rozmowie, którą trzeba było już zakończyć. *Kiedyś to byśmy wyrwali ci ten kolczyk z ucha od razu, a teraz już nie, inne czasy...* – słyszę od solenizanta-gospodarza, który zarazem nalega, żebyśmy zostali dłużej, a w ostatnich godzinach wraz z kompanami opróżnił przynajmniej cztery butelki wódki. Z pewnością nie są to idealne okoliczności dla etnografa, nawet jeśli został tam serdecznie zaproszony.

Nie każdy będzie czuł się bezpiecznie, rozmawiając wieczorem sam na sam z obcym mężczyzną. Gorzej, jak wywiad jest na działce położonej dobrych parę kilometrów od miejsca noclegu i rozpętała się burza. Ale i nie ze wszystkimi będzie się czuła komfortowo starsza pani, zapytana o swoją przeszłość. Teren kształtuje się tam, gdzie możemy się dostać. Zależnie od tego, kim jesteśmy i jak nas postrzegają inni, możemy dotrzeć w zupełnie odmienne miejsca.

Ja się boję

DOMINIKA NIKIEL I ALEKSANDRA TARKA

„Ja się boję” – prawdopodobnie każda antropolożka, a być może i nie tylko, chciała wypowiedzieć kiedyś to zdanie w trakcie swoich badań. Jedna z nas nawet je wypowiedziała – zbierając wywiady w projekcie na temat mieszkańców jednego z warszawskich osiedli.

Stacjonowaliśmy z innymi badaczami przy stołach w holach niedaleko portierni i zapraszaliśmy mieszkańców do rozmów o ich doświadczeniach i historiach związanych z osiedlem. Wieczorem, kiedy już skończyliśmy badania, zwróciłam uwagę na mężczyznę za oknem, który na mój widok wpierw przystanął, zawiesił na mnie wzrok na kilka sekund, a potem szybkim krokiem wszedł do budynku. Powiedziałam wtedy do stojących obok mnie osób, że się boję i usłyszałam tylko zaskoczone zapewnienie, że nie ma czego.

Mężczyzna podszedł do mnie po czym przez kilka sekund stał nade mną i domagał się mojej uwagi, dopytując, dlaczego nic nie mówię. Podszedł nawet do portiera poskarżyć się, że nie chcę z nim rozmawiać. Następnie krążył w pobliżu. Czułam się sparaliżowana, osaczona i niezdolna do sformułowania jakiegokolwiek myśli. Żaden z towarzyszących mi mężczyzn nie zareagował. Gdy zdecydowaliśmy, że to już koniec na dziś, zaczęłam się pakować. Kolega spojrział wtedy na mnie i stwierdził, że chyba potrzebuję chwili, by dojść do siebie. Dodał, że ta sytuacja faktycznie była stresująca. Zaczęłam się wtedy cała trząść i powstrzymywać łzy, które wbrew mojej woli zbierały mi się w oczach. Wyszli-

my sami. Idąc wzdłuż okna, od zewnątrz, zauważyłam, że mężczyzna, który został w środku, podąża równym krokiem za nami, patrząc prosto na mnie. Całą drogę do przejścia oglądaliśmy się za siebie, by upewnić się, że nie pobiegnie za nami. Po rozstaniu z kolegą zaczęłam biec, by jak najszybciej oddalić się od osiedla.

Długo zastanawiałam się, czy powinnam porozmawiać na ten temat z kimś z naszego Instytutu. No bo przecież nic mi się tak naprawdę nie stało, nikt nie wyrządził mi fizycznie krzywdy. Czułam się osamotniona, jako jedyna kobieta wśród mężczyzn, której reakcja nie została w dodatku zrozumiana. Czułam się też zagrożona i zestresowana nieprzewidywalnością zachowania tamtego obcego, który dodatkowo zdawał się nie być trzeźwy. Zastanawiałam się nawet, czy i w jaki sposób mogłam sprowokować całą sytuację.

Po konsultacji z innymi studentkami, którym opisałam zajście, zdecydowałam się pójść do prowadzącej moje laboratorium. Cieszę się, że to zrobiłam. Potrzebowałam wsparcia, które otrzymałam wraz z garścią rad oraz zapewnieniem, że dobrze, że o tym mówię. Zrozumiałam, że mam prawo do swoich odczuć, które są naturalną częścią mnie, również w terenie badawczym. Jeżeli nauczę się ignorować moje instynkty w takich sytuacjach, to podejście to może zostać ze mną na dłużej i kiedyś narazić mnie na większe niebezpieczeństwo.

Z naszych rozmów z koleżankami ze studiów wynika, że podobne sytuacje zdarzają się często. Nie do końca wiemy, jak o nich rozmawiać. Zapewniamy sobie, że mamy prawo czuć się niepewnie czy wręcz odczuwać lęk – czasem jest

to pierwszy raz, kiedy któraś z nas to słyszy. Częściej otrzymujemy pochwały już po danej sytuacji – docenienie, że dotrwałyśmy do końca wywiadu lub że dobrze sobie poradziłyśmy. Są to komentarze cenne, jednak na usta ciśnie się pytanie – czy sytuacja, po której podobne zapewnienia są potrzebne, w ogóle powinna zajść?

Podczas prowadzenia badań terenowych nieuniknione jest, że dojdzie do sytuacji niekomfortowych czy wręcz niebezpiecznych. W połączeniu z (konieczną) presją na zdobycie konkretnej ilości materiałów terenowych, często podejmujemy ryzyko, zagadując do ludzi, do których w codziennym życiu nigdy byśmy nawet nie podeszły, lub wchodząc do domów nowo poznanych rozmówców. Będąc otwartymi na rozmowę, wystawiamy się na różnego rodzaju interakcje, nie zawsze inicjowane przez nas i nie zawsze przyjemne. Z jednej strony zdobyte w ten sposób materiały badawcze mogą okazać się cenne, z drugiej – jakim kosztem są one zdobywane? Czy nie traktujemy niebezpiecznych sytuacji jako czegoś, przez co każda antropolożka musi przejść, jak przez swego rodzaju rytuał przejścia?

Nasze ryzykowne doświadczenia zamieniamy potem w sensacyjne anegdoty, którymi dzielimy się z innymi. Opowieści te nie przekształcają się jednak w dyskusję. Pozostają na poziomie towarzyskiej rozmowy, która raczej nie skupia się na tym, jak owe sytuacje wpłynęły na nas jako badaczki. W obliczu ukończonych badań ten element doświadczenia w terenie staje się nieważny, zapomniany.

Oczywiście nie możemy całkowicie demonizować ryzyka. Nawet te trudne doświadczenia potrafią wzbogacić nas jako badaczki i zmusić do refleksji nad tym, jak prowadzimy i jak chcemy prowadzić nasze badania. Kolejne podejmowane przez nas

decyzje, związane z metodą badań i bezpieczeństwem w terenie, stają się coraz bardziej świadomymi decyzjami, podyktowanymi doświadczeniem i wiedzą. Te doświadczenia potrafią też dostarczyć ciekawego materiału badawczego, którego być może w żaden inny sposób byśmy nie zdobyły.

Problem w tym, że kiedy już zadbam o swoje bezpieczeństwo i uczucia, na przykład odmawiając kolejnego wywiadu z pijanym rozmówcą, powstaje wrażenie, jakbyśmy wychodziły z roli antropologa, a wracały do bycia kobietą, nie-badaczką. Tymczasem, będąc w terenie, wciąż występujemy – choćby i nieświadomie – w roli antropologa-kobiety. Nasze zachowanie oraz doświadczenie oczywiście odbiega od doświadczenia antropologów-mężczyzn, jednak nadal jest doświadczeniem badawczym. Mimo to niekiedy nie jesteśmy w stanie pozbyć się poczucia, że prowadzimy badania „nie tak”, „źle”, czy „niewystarczająco” – te myśli często pozostają jednak niewyartykułowane oraz niespisane w publikacjach.

Nie apelujemy zatem o zaprzestanie badań terenowych – w żadnym wypadku! Mimo to uważamy, że dyscyplina, jaką jest antropologia, wymaga od badaczy i badaczek dużej uważności, wysiłku i wrażliwości – nie tylko na nasze otoczenie i rozmówców, ale również na nas samych. W obliczu wyzwania, jakie stawiają przed nami badania terenowe, może konieczne jest szczere rozmawianie nie tylko o badaniach i o naszym terenie, ale również o nas samych – jako że nie tylko my wpływamy na nasz teren, ale i on na nas. Nie zawsze to, co zostaje z nami po badaniach, jest dla nas dobre i konstruktywne – często wymaga dłuższej refleksji, ale także szczerzej, emocjonalnej rozmowy.

Z Warszawy tylko na papierze

czyli o tym, kim staje się badaczka w terenie

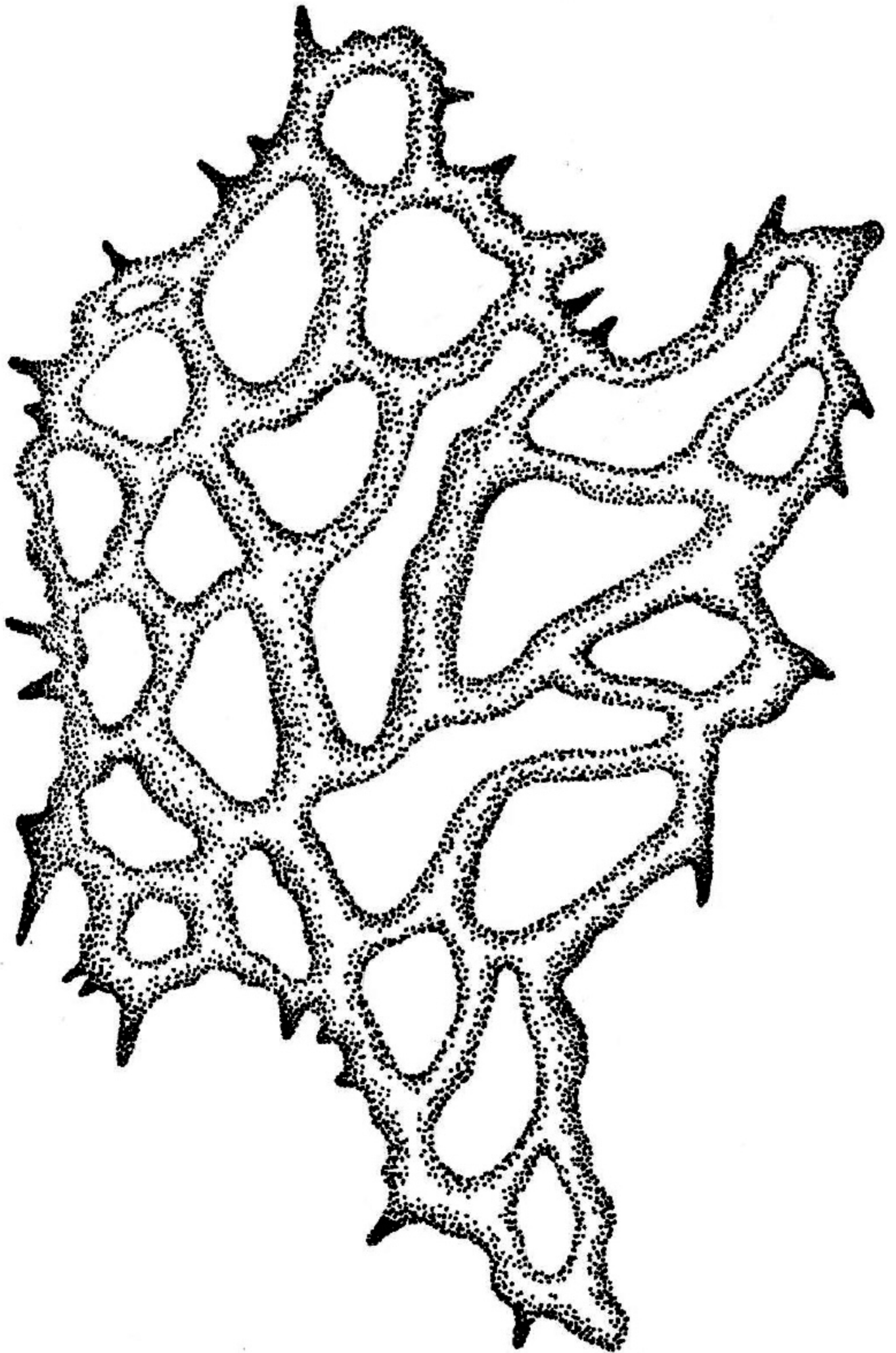
JOANNA MALINOWSKA

Badania terenowe w antropologii rzadko polegają wyłącznie na zadawaniu pytań i rejestrowaniu odpowiedzi. Znacznie częściej są procesem nieustannego negocjowania własnej pozycji wobec rozmówców. To, kim jestem jako badaczka, nie wynika wyłącznie z mojej roli akademickiej, lecz z tego, jak zostaję zaklasyfikowana, oceniona i osadzona w lokalnych porządkach znaczeń. W trakcie moich badań terenowych wyraźnie ujawniło się, jak ogromne znaczenie ma informacja o pochodzeniu i jak bardzo wpływa ona na charakter relacji badawczej.

Najbardziej intensywnie doświadczyłam tego na Podhalu. Kiedy rozmówcy dowiadywali się, że studiuje w Warszawie, natychmiast sytuowali mnie w pozycji „obcej”. Warszawa była tam symbolem „centrum”, kojarzyła się z ludźmi oderwanymi od lokalnych realiów i z wyższością odnoszącymi

się do mieszkańców innych regionów. Jako „studentka z Warszawy” spotykałam się z dystansem, niechęcią, a czasem wręcz z otwartą nieufnością. Rozmowy były krótkie, zdawkowe i wyraźnie kontrolowane.

Sytuacja zmieniała się w momencie, gdy dodawałam, że jedynie studiuje w Warszawie, tak naprawdę zaś pochodzę z Przemyśla. Informacja ta działała jak korekta tożsamościowa, która natychmiast przestawiała ramy interpretacyjne rozmowy. Znikała początkowa rezerwa, zmieniał się ton wypowiedzi, a dystans ustępował miejsca wyraźnej życzliwości. Przemyśl sytuował mnie po stronie peryferii i pogranicza, świata doświadczonego historią, a nie metropolitalnego centrum, kojarzonego z brakiem zrozumienia dla lokalnych traum. Stawałam się kimś „bliższym”, kimś, kto nie przyjechał jedynie „zapytać”, lecz potencjal-



nie potrafi pojąć ciężar opowiadanych historii. W opozycji do wyobrazonego „Warszawiaka”, byłam postrzegana jako osoba zanurzona w podobnym porządku pamięci i doświadczeń.

Ta zmiana pozycji miała jednak konsekwencje, które wykraczały poza prostą kategorię większej otwartości. Zaufanie, którym mnie obdarzano, uwalniało język brutalności. Rozmówcy znacznie chętniej i szybciej przechodzili do opowieści o wydarzeniach skrajnie traumatycznych, przede wszystkim o zbrodni wołyńskiej. Narracje te były często wyjątkowo dosadne, pełne drastycznych szczegółów, opowiedane bez łagodzących eufemizmów. Pojawiało się wyraźne założenie, że nie trzeba niczego tłumaczyć ani oswajać, ponieważ „ja to wiem”, „ja to zrozumieć”, „u mnie w Przemyślu to się pamięta”. Moje pochodzenie działało jak upoważnienie do mówienia rzeczy, które w obecności „kogoś z Warszawy” mogłyby zostać przemilczane lub złagodzone.

Urodzenie w Przemyślu stało się w tych rozmowach symbolicznym poświadczeniem kompetencji do rozumienia przemocy i historycznej krzywdy. Rozmówcy traktowali mnie jako osobę, która nie tylko zna kontekst, lecz także emocjonalnie jest do niego przygotowana. W ten sposób moja biografia została wpisana w ramy zbiorowej pamięci, niezależnie od moich indywidualnych doświadczeń. Oczekiwano ode mnie nie tyle neutralnej postawy badawczej, ile współuczestnictwa w pamięci, potwierdzenia słuszności opowiadanych narracji oraz milczącej zgody na ich brutalność. Zaufanie to miało więc ambiwalentny charakter: z jednej strony umożliwiało dostęp do głębokich, rzadko artykułowanych

opowieści, z drugiej obciążało mnie rolą depozytariuszki traumy.

W tej sytuacji relacja badawcza przestawała być już tylko jednostronnym procesem poznawania, a zaczynała przyjmować wyraźnie emocjonalny charakter. Nie byłam już tylko badaczką, lecz także adresatką trudnej pamięci, kimś, komu „można powiedzieć wszystko”. Doświadczenie to pokazało, że pochodzenie badaczki nie tylko otwiera dostęp do narracji, lecz także wpływa na ich formę, intensywność i poziom brutalności. Przemyśl nie był w tych rozmowach jedynie miejscem na mapie, lecz symbolicznym kluczem, który zdejmował blokady językowe i pozwalał przemocy wybrzmieć w pełnej, nieocenzurowanej postaci.

Podobne mechanizmy obserwowałam w Kolbuszowej. Warszawa również budziła tam dystans i poczucie obcości. Była postrzegana jako świat inny, nieprzystający do lokalnego doświadczenia. Gdy ujawniałam, że tak naprawdę pochodzę z Przemyśla, rozmowy stawały się swobodniejsze, a rozmówcy bardziej otwarci. Przemyśl funkcjonował tu jako znak wspólnoty losu mniejszych miast i regionów peryferyjnych. Byłam postrzegana jako ktoś „tutejszy”, nawet jeśli geograficznie stosunkowo daleki.

Inaczej wyglądała sytuacja na Podlasiu. Tam Warszawa nie była oceniana jednoznacznie negatywnie. Jawiła się raczej jako odległa rzeczywistość, z inną polityką i innymi obyczajami. Informacja o pochodzeniu z Przemyśla działała tutaj subtelniej. Budowała porozumienie oparte na wspólnym doświadczeniu przynależności do wschodniej części Polski, pogranicza kulturowego oraz obecności prawosławia

lub grekokatolicyzmu w codziennym krajobrazie. Przemyśl stawał się punktem odniesienia, który łączył, choć nie usuwał całkowicie dystansu. W miejscach tych istotnym kontekstem było także wyobrażenie Przemyśla jako miasta nierozzerwalnie związanego z pomocą uchodźcom z Ukrainy. Dla wielu rozmówców było to pierwsze skojarzenie z nazwą miasta. W lokalnych imaginariach Przemyśl funkcjonował jako przestrzeń solidarności i zaangażowania, co również wpływało na sposób, w jaki byłam postrzegana.

Doświadczenia z terenu skłoniły mnie do przyjrzenia się własnej tożsamości i temu, jak bardzo jest ona zależna od sytuacji. Mimo że formalnie występowałam jako studentka warszawskiej uczelni, nie odnajdywałam się w roli Warszawianki. Była mi ona raczej przypisywana – jako pewna etykieta, niosąca ze sobą wyobrażenia o centrum, symbolicznej przewadze i dystansie wobec lokalnych doświadczeń. Dużo bliższe było mi określenie „Przemyślanka”, które lepiej oddawało moje poczucie zakorzenienia, a w praktyce terenowej okazywało się bardziej zrozumiałe dla rozmówców. To właśnie ono ułatwiało mi nawiązywanie relacji opartych na zaufaniu i poczuciu wspólnoty. Jednocześnie coraz wyraźniej widziałam, że moja tożsamość badaczki nie jest czymś danym raz na zawsze ani neutralnym – przeciwnie, kształtuje się na bieżąco, w relacji z innymi, ich oczekiwaniami oraz lokalnymi sposobami rozumienia świata.

Badania terenowe postrzegam więc nie tylko jako proces poznawania Innych, ale również jako moment intensywnej autorefleksji, w którym konfrontuję się z własnym umiejscowieniem

między symbolicznie rozumianym centrum a peryferią, obcością a swojskością. W tym sensie Warszawa i Przemyśl funkcjonowały w moich badaniach nie tyle jako konkretne punkty geograficzne, ile jako kategorie symboliczne, które porządkowały relacje społeczne i wyznaczały ramy możliwego dialogu. Zauważałam, że odwołanie się do jednego lub drugiego miasta mogło otwierać przede mną dostęp do intymnych, emocjonalnie obciążonych narracji albo przeciwnie – zamykać rozmowę w bezpiecznych, zdystansowanych formułach. To właśnie te miejsca nadawały sens samemu aktowi rozmowy, wpływając na to, jakie historie były mi opowiadane, w jakim tonie i jak daleko rozmówcy byli gotowi się posunąć. W rezultacie teren badań stawał się dla mnie przestrzenią nieustannego negocjowania znaczeń, w której nie tylko zbierałam opowieści, lecz także stopniowo stawałam się ich częścią.

Badanie na własnej skórze

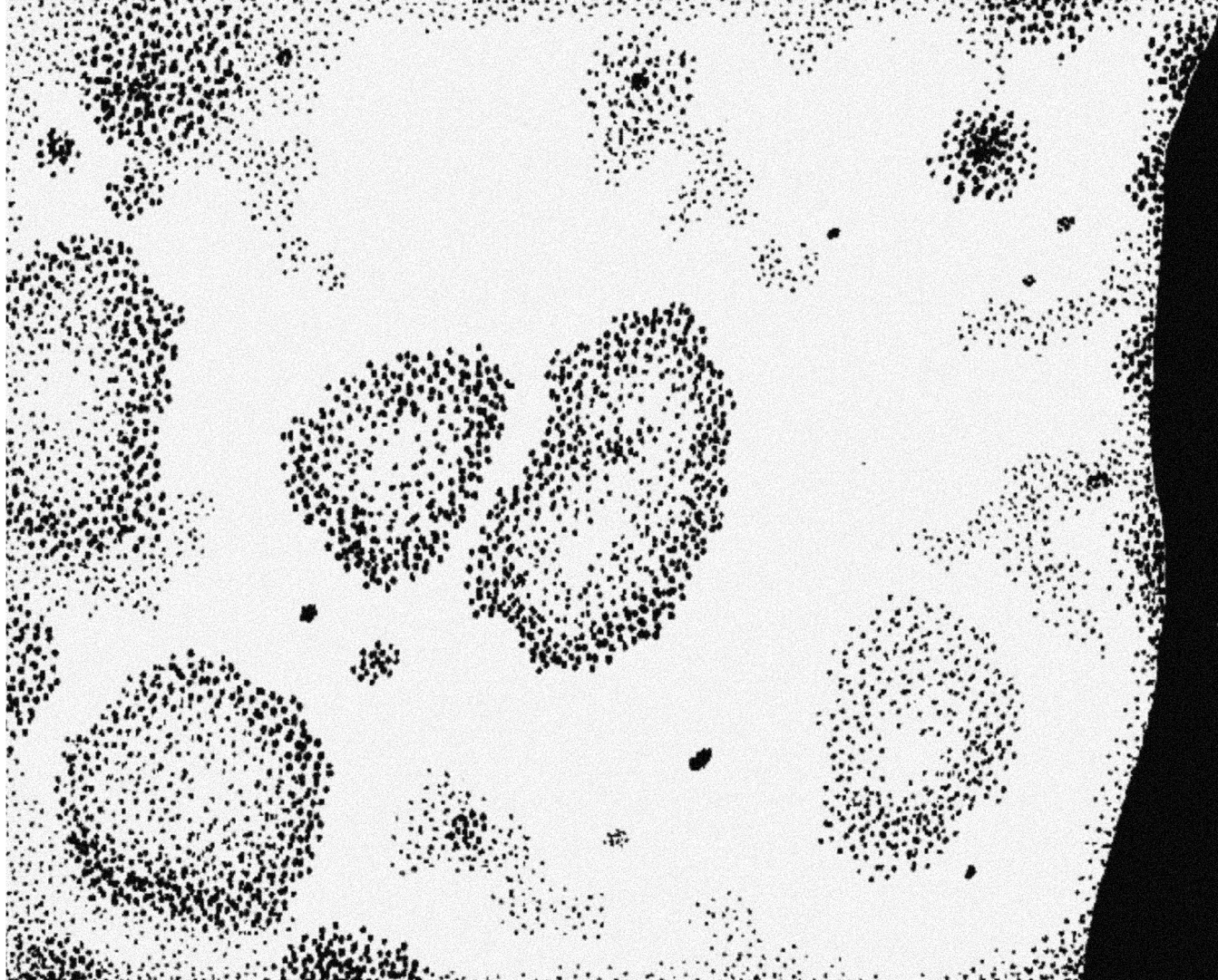
ANTONI JANKOWSKI

Tworzenie wiedzy antropologicznej porównuje się do zanurzenia w terenie. Temat porywa jak fala, a osoba badająca poddaje się temu, co dzieje się w ramach relacji etnograficznych. Metafory ruchu wydają się bardzo trafnie opisywać zjawiska dziejące się w terenie i całą dynamikę procesu badawczego. W centrum tej myśli znajduje się ciało poddane procesom, w których wytwarza wiedzę. Zaskoczenie, emocje, zmęczenie stanowią namacalną i fizyczną część procesu antropologicznego. Jak natomiast trafnie pisać i mówić o przeżywanej przez badaczki i badaczy stronie badania? W jaki sposób ciało działa w badaniu?

Otoczający świat poznajemy za pomocą zmysłów. Wydarzenia, których doświadczamy, w których uczestniczymy, postrzegamy różnie, często w zależności od tego, co czujemy i przeżywamy w danym momencie. Wpływa to na sposoby widzenia i rozumienia świata. Tak samo ważne jest to w terenie badawczym, gdzie

znaczenie dla naszych obserwacji i interpretacji mają nie tylko nasze emocje, ale również to, jak widzą nas rozmówcy i uczestnicy badań.

Ciało działa i jest stale obecne w badaniu. Jednak w wirze wydarzeń, w które może wciągać teren, kiedy jednocześnie uczestniczymy w nich i staramy się je opisać, trudno może być zachować wrażliwość na to, czego cieleśnie doświadczamy. Ja w trakcie badań terenowych na Wawrze w latach 2022–2023 czułem potrzebę, by wykorzystać w pełni moje siły w procesie badawczym i ciągle prowadzić obserwacje terenowe. Chęć i energia potrzebna do zgłębiania psio-ludzkich relacji, odkrywania, jak ludzie patrzą na miejskie tereny zielone oraz poznawania ich przywiązania do Lasku Wawerskiego i Zakola Wawerskiego pochłonęły mnie całkowicie. Rytm badań wymagał ciągłego ruchu, a ich fizyczna część została podporządkowana wysiłkom, aby jak najdokładniej wszystko zapisać, spamiętać oraz spot-



kać jak najwięcej osób i przeprowadzić z nimi wywiady. Spisane i opracowane doświadczenie badawcze zawierało również część poświęconą własnym przeżyciom w terenie. Jego fizyczny charakter miał ważny wpływ na wytwarzaną wiedzę, jednak nie była to sytuacja, w której samo ciało byłoby bezpośrednim źródłem materiału do analizy.

Myślę, że takie rozumienie cielesności i wysiłku badawczego było w tamtym badaniu słuszne, gdyż pchało mnie w kierunku relacji powstających w terenie. Jednak wysiłki badacza i badaczki nie muszą być skoncentrowane na ciągłym ruchu. Jakie korzyści potrafi przynieść zatrzymanie się i pogłębiona refleksja nad doznanymi przeżyciami? Czy ciało może być źródłem wiedzy, a nawet: czy może stanowić teren badania?

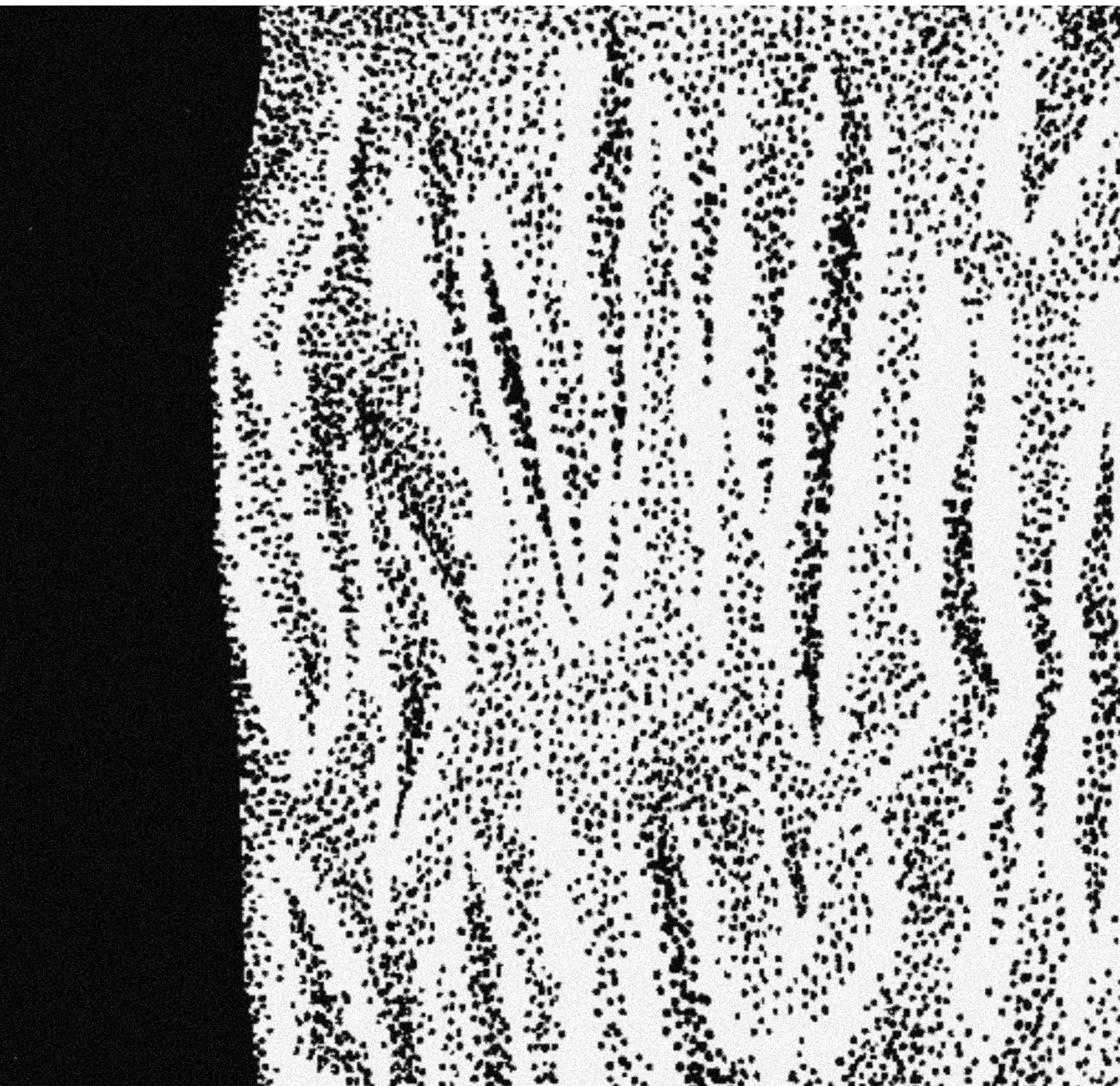
Tak postawiony problem to-

warzyszył mojej pracy terenowej w roku 2024. Oddaliłem się od wawerskich psów, by skupić się na nieobecnych w badaniach społecznych narracjach i doświadczeniach atopowego zapalenia skóry (AZS) i łuszczycy. Badania poświęcone tym przewlekłym chorobom skórny skupione są na medycznej stronie objawów lub koncentrują się jedynie na wybranych aspektach chorób, takich jak obciążenie finansowe lub wstyd towarzyszący osobom chorującym. Jako badacz, który sam choruje na AZS, postanowiłem zbadać jego całościowe, codzienne doświadczenie. Przyjęta w badaniu perspektywa obejmowała więcej niż diagnozę i sytuacje w szpitalu. Zależało mi bowiem, by nie skupiać się tylko na aspekcie trudnych emocji związanych z objawami. Wywiady wskazywały różne rozumienia chorowania, a własne doświadczenia życia z chorobą

pomagały wczuć się w to, o czym mówili rozmówcy. Moje rozumienie roli ciała w badaniu zmieniło się jednak po jednym ze spotkań. Opisywane przez rozmówczynię symptomy, dotąd nieznane, pojawiły się bowiem także na mojej skórze.

Kiedy próbowałem zrozumieć to wydarzenie, przyszedł mi na myśl tekst Edith Turner o pozycji badacza i uznaniu wiary w to, co mówią i prak-

tykują rozmówcy. Badaczka pokazywała, że dopiero wiara w obserwowany rytuał i pełne otwartości na zmianę przeżywanie wydarzenia zbliża ku doświadczeniu rozmówców, dając dostęp do innego spojrzenia na otaczający świat. Refleksja ta pozwoliła mi dostrzec, że także ja, słuchając, otworzyłem się na inne przeżywanie choroby. Zanurzając się w opowieść rozmówczyni, zacząłem wyobrażać sobie,



jak przeżywa się nieznane mi dotąd objawy. Na wysiłek zrozumienia zareagowało także moje ciało. Odczułem na własnej skórze symptomy, których wcześniej nie znałem. Przez jakiś czas ciało stało się dla mnie terenem badania i bezpośrednim źródłem wiedzy. Wsłuchałem się we własną perspektywę. Na nowo powróciło zaskoczenie i zagubienie, towarzyszące mi u początków radzenia sobie ze zmie-

nioną skórą. Odczułem przytłoczenie chorobą, pozbawiające poczucia kontroli i sprawczości. Wcześniej wypracowane sposoby radzenia sobie z objawami przestały się sprawdzać. Ciało było w tym przeżyciu aktywnym aktorem, nagle odmienionym, nieznanym i obcym. Wydarzenie to wywołało we mnie wiele emocji, podobnych do tych, o których wspominali rozmówcy w trakcie wywiadów. Pozwoliło mi więc z nową perspektywą wsłuchać się w to, co poruszali rozmówcy.

Przyjęcie ciała jako aktywnego aktora w tworzeniu wiedzy nie zawsze pozostaje łatwe. Jeszcze trudniejsze może być pozostawienie sobie czasu i przestrzeni w badaniu na refleksję oraz własne przeżycia. Wymaga również namysłu, by nie skupiać się nadmiernie na własnej perspektywie, która zamyka badacza na inne sposoby rozumienia, którymi posługują się rozmówcy. Moje doświadczenie badawcze jednak chciałbym wykorzystać, by podkreślić, że wiedza tworzona jest w ramach dwustronnego spotkania. Warto więc zachować otwartość nie tylko na cudzą perspektywę, ale również na rodzące się podczas wywiadów własne emocje, uczucia i wydarzenia. Mogą one stanowić nie tylko ważne tropy interpretacyjne, ale również odrębne wydarzenia, mające znaczenie w badaniu. Dlatego warto pozostawiać sobie przestrzeń na własną perspektywę. Proponowane przeze mnie uważne wsłuchanie się w przeżycia ciała może stanowić w tym sensie technikę badawczą, która pozwala wczuć się w to, co słyszy się i co dzieje się w terenie. Taka forma ucieleśnionego uczestnictwa wymaga troski i uważności, a także momentu zatrzymania. Dopiero w bezruchu można wsłuchać się w świeżo usłyszane słowa i obserwowane wydarzenia, bez natychmiastowej potrzeby przetwarzania ich na interpretacje oraz znaczenia.



Bije, znaczy kocha

impresje z badań białoruskiego stand-upu migracyjnego

WIKTORIA KRASZENINNIKOVA (Вика Крашенинникова)

Niewielu rzeczy na początku moich studiów byłam pewna. Wiedziałam jednak, że chcę prowadzić badania o (a najlepiej na) tzw. terenach post-sowieckich. Może Kaukaz, może Rosja... o ile sytuacja się nieco zmieni. Ale na pewno nie Białoruś. No bo co? Przecież tam się nic nie dzieje. No wiadomo, dyktatura – ale przecież bez przesady. Wiadomo, niedemokratyczne państwo Łukaszenki – ale jak źle może tam być? Czułam, że ten teren jest jakoś za prosty – przecież mieszkałam kiedyś w Ukrainie. Jak bardzo inaczej może tam to wszystko wyglądać? No protesty – ale o ilu protestach w życiu słyszałam?

I c o ?

Zaczynając badania nad stand-upem migracyjnym, chciałam po prostu iść w społeczność rosyjskojęzyczną. Okazało się jednak, że takich komików byłoby zbyt wielu. Trzeba się było na coś zdecydować. No dobrze, niech będzie Białoruś.

Teraz pozostaje mi jedynie wstyd.



tekst 1: Porozmawialiśmy o białoruskim standupie dla PRACY NAUKOWEJ
tekst na oknie: a tam ja

Przy rozmowie z Pashą i Antonem miałam ciekawy moment. Podzielili się ze mną bardzo dobitną, pesymistyczną refleksją, że w sumie to i tak nie dało się nic zmienić, że te suki (znane również jako specjalnie uzbrojone służby AMON) podczas protestów zabijały ludzi. Zrozumiałam wtedy, w jak absurdalnej sytuacji siedzimy. Rozmawialiśmy w Violet cafe. Słodkiej, *girly pop* kawiarence, gdzie wszystko jest fioletowe, gdzie z głośników leci *white girl music*, o miłości czy czymś takim, gdzie świat jest trochę lepszy. A tu – ja – słucham rozrywających serce historii o tym, jak ludziom wyłamywano ręce, jak boją się przejść przez ulicę, kiedy widzą kordon policji, bo nie wiadomo, co się może stać. Dzielę się tym rozdzwiękiem z moimi rozmówcami. W odpowiedzi mówią: „Słuchaj, no ale w tym jest całe nasze życie, taki *lore* wychodzi”. Żeby lepiej zrozumiała sytuację, zaczynają mi kreślić kolejne tragikomiczne historie. Pasha kwituje: „Dlaczego ci to zacząłem opowiadać? Dlatego, że ta atmosfera i te historie dosłownie to nasza... tak – to dla nas absolutna norma, tak. Widzisz, co się dzieje w świecie, w twoim kraju i w ogóle wszędzie. A ty musisz wyjść i opowiadać żarty o tym, że przez przypadek poszedłeś do gejklubu, będąc hetero. I myślisz sobie – kto teraz na sali będzie chciał o tym słuchać? A masz po prostu pójść i rozweselić ludzi”.

Ludzie się bardzo boją. Strach spowija moje badania. Strach moich rozmówców o swoje własne bezpieczeństwo. Jeden ze stand-uperów przyznaje w pewnym momencie rozmowy: „Białoruskie służby groziły mi, próbowały wejść przez moich rodziców”. Nie jest odosobnionym przypadkiem. Strach w ich życiach: „A mogłabym porozmawiać z twoją dziewczyną?” – pytam innego stand-upera, przedstawiciela undergroundu – „Wiesz co, ona wraca na Białoruś. Nawet się nie obserwujemy na instagramie, usunęliśmy wszystkie wspólne zdjęcia. Bardzo dbamy o jej prywatność, więc niestety nie” – odpisuje. Strach na co dzień. Na koncercie* widzę, że jedna dziewczyna robi zdjęcia stand-up klubu przed występem najpopularniejszego komika białoruskiego – skazanego zaocznie na 6 lat więzienia. Wiem, że będzie wracać na Białoruś, bo o tym rozmawialiśmy. „Co zrobisz z tymi zdjęciami?” – pytam – „Przecież jak będziesz wracać, to musisz to wszystko usunąć”. „Nie wiem, wydrukuję może i gdzieś schowam. Albo komuś prześlę. Nie wiem”. Władza przegląda zdjęcia. Władza słucha żartów. Władza sprawdza cię w mediach. Władza się tobą interesuje. Chce cię poznać, uścisnąć zabójczym uściskiem miłości, tak żeby skutecznie odciąć ci dopływ powietrza. Ale nie chce cię udusić. Woli cię zmęczyć, przyzwyczaić, że tlen wcale nie jest twoim prawem. Jest przywilejem, za który powinieneś dziękować. Podziękuj.

*na występy stand-upowe mówi się koncerty



100 К 1
ВСМЕЯТЬСЯ ПЕРЕБИВАТЬ
ДОНАТИТЬ ШУМЕТЬ
НАПИТКИ
АГРОДИРОВАТЬ
СТОРИС

Żart o Łukaszence

WIKTORIA KRASZENINNIKOWA
(ВИКА КРАШЕНИННИКОВА)

Вы знали, что Лукашенко недавно
ввел закон - это абсолютная
правда - он ввел закон, что все
жители Республики Беларусь
должны ходить абсолютно голыми!
Представляете? И он ДАЖЕ сам его
соблюдает!

...

Ну, это конечно же шутка.
Лукашенко никогда бы...
не соблюдал законы.
Ну потому что, как мы все знаем:
“иногда не до законов”*.

Wiedzieliście, że Łukaszenka niedawno
wprowadził ustawę – mówię totalnie
serio – wprowadził ustawę nakazującą
wszystkim mieszkańcom Republiki
Białorusi chodzenie nago! Wyobraź-
cie sobie? I NAWET sam ją egzekwuje!

...

No, oczywiście jest to żart.
Łukaszenka nigdy by...
nie egzekwował prawa.
Bo jak wiadomo,
„czasem nie ma czasu na prawo”*.

Вы ведалі, што Лукашэнка нядаўна
ўвёў закон - гэта абсалютная праўда
- ён увёў закон, што ўсе жыхары
Рэспублікі Беларусь павінны хадзіць
абсалютна голымі! Уяўляеце? І ён
НАВАТ сам яго выконвае!

...

Ну, гэта, вядома ж, жарт.
Лукашэнка ніколі б...
не выконваў законы.
Ну таму што, як мы ўсе ведаем:
“часам не да законаў”.*

* takie właśnie słowa wypowiedział
Łukaszenka 10 września 2020 r. podczas
spotkania z nowym Prokuratorem Genera-
lnym i funkcjonariuszami służb bezpieczeń-
stwa
<https://youtu.be/EVzWN41hVBs?si=ghR-8SPOZx2LW3oOF>

Polviety – smaki kompromisu

(zdjęcia:
Karolina Szymczak)

KAROLINA SZYMCZAK

W mapę Warszawy, odkąd pamiętam, wpisane są *polviety*, nazywane również *chińczykami*, *wietnamczykami* lub *barami azjatyckimi*. Jeden z budkowo-blaszanych lokali działał obok mojego gimnazjum na warszawskiej Ochocie. Obiad skomponowany z kurczaka w cieście kokosowym, ryżu i surówki z białej kapusty, wraz z sosem słodko-kwaśnym do polania całości kosztował 12 zł. Był smaczny, syty i dostępny cenowo. Choć jawił się jako coś nowego, bazował na oswojonych składnikach i smakach. Dla wielu z nas były to pierwsze spotkania z „azjatyckością” – coś nowego na gastronomicznej scenie, wobec wszechobecnych zapiekaneq, barów mlecznych, frytek i hamburgerów.

Ponieważ moje badania magisterskie dotyczą kulinariów wietnamskich w kontekście migracji oraz przekładów (translacji) smaków na linii Hanoi–Warszawa, nie sposób pominąć genezy i fenomenu tych lokali. *Polviet* jest kuchnią konieczności i negocjowania dostępności, ceny oraz smaku. Są to kulinaria, jakie powstały w odpowiedzi na brak składników, infrastruktury czy sieci dystrybucji w globalnych łańcuchach dostaw, a także zbyt wysokie koszty pozyskania konkretnych produktów. Dopełniała to niepewność – jakie smaki będą

akceptowane przez polskich konsumentów, aspekt barier językowych oraz cena, jaką był skłonny zapłacić klient.

W rozmowach z Ngoc Diep (@diep.warsaw) i Huyen (@gao.food), zaangażowanymi w promocję i popularyzację wietnamskiej kultury kulinarnej w Polsce, powraca motyw lat 90., jako czasu improwizacji. Lokale prowadzone wówczas przez Wietnamczyków nie aspirowały do bycia „ambasadorami kuchni narodowej”, lecz tworzyły miejsce pracy, utrzymania i zakorzeniania się w Polsce. Oferowane dania nie stanowiły kuchni wietnamskiej sensu stricto. Była to raczej kuchnia możliwa do przygotowania – na styku tego, co znajome, podobne i dostępne. Także i nazwy dań zostały dostosowane do lokalnych realiów, według logiki: krótkie, łatwe do zapamiętania oraz „egzotyczne” w brzmieniu, jak m.in.: „sajgonki” (*nem rán, chả giò*). Z pragmatyzmu, adaptacji i improwizacji wyłoniła się kulinarna hybryda pomiędzy tym, co wietnamskie, a tym, co możliwe – czyli *polviety* – na styku Polski i Wietnamu.

Weźmy na przykład sos słodko-kwaśny, stworzony z dostępnych lokalnie składników, takich jak: marchew, jabłko, banany, ananas, ocet





i cukier. Z perspektywy kuchni wietnamskiej była to aberracja, lecz w Polsce lat 90. zyskał miano „smaku Azji”. Powstał zaś w efekcie spotkania dwóch porządków smakowych: polskich preferencji sensorycznych (opartych na wilgotności dań za pośrednictwem sosu) oraz wietnamskiej praktyki balansowania smakami (słodkim, słonym, kwaśnym, ostrym i gorzkim). Lokale typu *polviet* były i są miejscami negocjacji oraz translacji do lokalnych preferencji i oswojonych smaków. Konsumenty oczekiwali niskich cen, dużych porcji i powtarzalności, a właściciele gastronomii starali się na to odpowiadać, przez co kuchnia wietnamska w Polsce była przez dekady postrzegana jako „tania” i „robotnicza”. Skutecznie blokowało to jej symboliczny awans. Rozmówczynie wskazywały, że pomimo upływu czasu sche-

mat ten wciąż jest obecny. Nadal – choć rzadziej – zdarzają się krytyczne komentarze, gdy rachunek za cztery dania wynosi 100 zł. A przecież mówimy o 25 zł za pełną, sycącą i obiadową porcję. W przekonaniu konsumentów ma pozostać tanio, jedzenie zaś ma nasycić, a nie służyć celebracji. Tymczasem zarówno inflacja jak i rosnące czynsze, opłaty za energię, wynagrodzenia i koszty surowca determinują konieczność podnoszenia cen w menu. Uwydatnia to napięcie między przyzwyczajeniem klienta a realiami prowadzenia lokali, których uparcie trzyma się etykieta „taniej” kuchni, blokując awans w hierarchii miejskich smaków.

Szczególną rolę w gastronomii pełniły kobiety – mamy, ciocie i siostry – restauratorki, strażniczki pamięci kulinarnej a zarazem innowatorki. Adaptowały przepisy, uczyły się rynku i negocjowały sma-

ki, wykonując pracę emocjonalną, opiekuńczą i organizacyjną.

Polviet był etapem przejściowym, historycznie i ekonomicznie zanurzonym w realiach Polski lat 90. – etapem koniecznym, ale nie ostatecznym. Dzisiejsza kondycja warszawskiej sceny kulinariów wietnamskich pokazuje, że kuchnia ta wyszła poza logikę kompromisu, zyskała autonomię i kulturową pewność siebie. Świadczy o tym m.in. popularność i bogata oferta Targowiska Bakalarska (np. *Hanoi Grill*, *Pho Mai*, *CiCi Bar*, *Anh 9*, *Tea-Nme*, *Ha My Bar*, *Lê La Quán*), a także liczne warszawskie restauracje zlokalizowane poza Bakalarską, jak choćby: *Viet Street Food*, *Vietnamka*, *Tran Tran*, *Bin Bin* czy *Ukim*. *Polviet* oswajał stopniowo nowe smaki, a kuchnia, która nigdy nie istniała jako kanon, odegrała fundamentalną rolę w kształtowaniu polskiego krajobrazu jedzeniowego (*foodscape*). Choć powstała z braku, wytworzyła nadmiar znaczeń, zyskując miano „comfort foodu” Polaków.





Plażowa magisterka

MAŁGORZATA HARASIMOWICZ

(zdjęcia:
Małgorzata Harasimowicz)

Mój pomysł na magisterkę wziął się z miłości do morza, ale też ze świadomości ogromnego długu poznawczego. Latem 2024 roku brałam udział w Livonian Summer University – letniej szkole języka i kultury Liwów w Łotwie, na Wybrzeżu Liwońskim (Līvõd rānda po liwońsku, po łotewsku – Lībiešu krasts). W ramach działań

SKN „Mozaika” przy Zakładzie Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim napisaliśmy projekt badawczy, dotyczący kultur rybackich Bałtyku. Projekt nie dostał dofinansowania, ale za to Instytut Liwoński zaprosił dwie osoby od nas na ten właśnie kurs. Na miejscu spotkała nas obfitość – dwa tygodnie porannych lek-

cji języka, wycieczek, wykładów w terenie, dyskusji, wieczorów poetyckich i morskich kąpiei o zachodzie słońca. Skrobiąc ołówkiem na marginesie polskie nazwy przypadków, starałam się nadażyć na szybkim kursie podstaw liwońskiego, w którym oprócz mnie brały udział wielojęzyczne osoby lingwistyczne. Trudny i piękny język, do tego Bałtyk, las, dawne wioski rybackie i kompletna pustka. Żadnej budki z lodami, żadnego straganu, prawie żadnych ludzi. Pustka jest romantyczna, ale ma swoje przyczyny. To wybrzeże w okresie radzieckiej okupacji było zewnętrzną granicą ZSRR, a także strefą zmilitaryzowaną i (w znacznym stopniu) zamkniętą. Przez prawie pięćdziesiąt lat morze znajdowało się tu pod specjalnym nadzorem – absurd, który szczególnie mocno wpłynął na losy lokalnych społeczności rybackich, w tym Liwów, rdzennych mieszkańców Łotwy.

Zastanawiałam się, co mam do zaoferowania osobom, które mnie zaprosiły. Co mogę zrobić w Łotwie, wtedy jeszcze bez znajomości języka łotewskiego, co miałoby sens i zapełniło jakąś istotną lukę w wiedzy? Jako osoba utożsamiająca się mocno z wybrzeżem, a szczególnie z Bałtykiem, czułam, że umiem w morze. Umieję też w granice – z perspektywy studiów krytycznych. I tak powstał pomysł na magisterkę, którą piszę w naszym IEiAK-u. Po skonsultowaniu moich wstępnych idei z osobami z Instytutu Liwońskiego, postanowiłam zająć się tym, jak radziecka okupacja wpłynęła na relację mieszkańców Wybrzeża Liwońskiego z krajobrazem, a także na ich codzienne życie.

Podczas mojego letniego (sierpień 2025) wyjazdu badawczego spacerowałyśmy z osobą przyjacielską plażą z wioski Lūžņa do Miķeļtornis, gdzie się zatrzymałam. Rozmawiałyśmy o przestrzeni. Ona jest z pogranicza polsko-niemieckiego, południowego

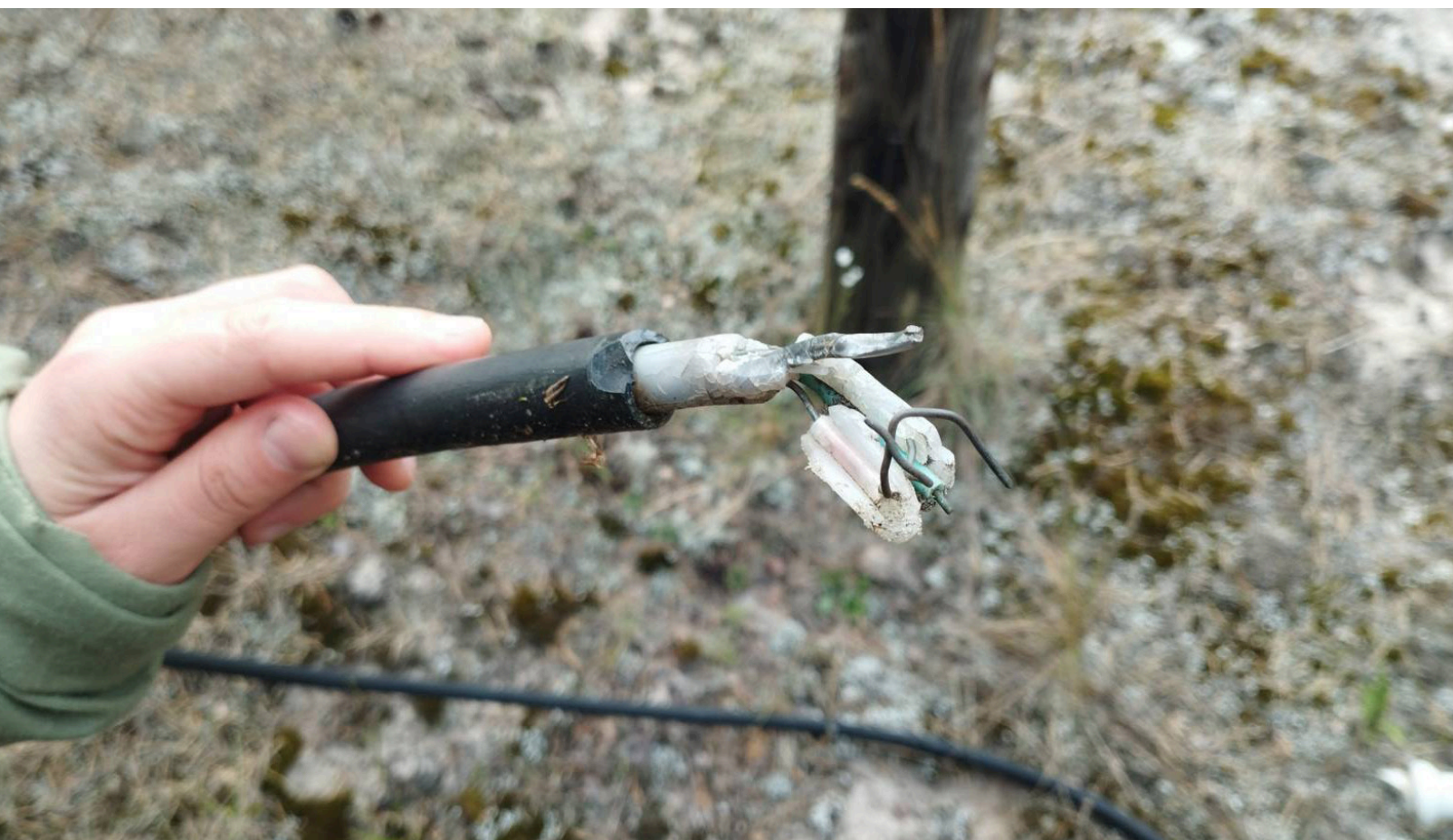
zachodu. Wyznała mi wtedy, że jej rozumienie morza i plaży opiera się głównie na książce Tove Jansson *Tatuś Muminka i Morze*, a nasz długi spacer wydaje się jej dość monotony i nie wie, na co patrzeć, jak ten teren czytać. To uświadomiło mi, że umiejętność odnalezienia się w nadmorskim krajobrazie jest moim kluczowym narzędziem badawczym. Przez pryzmat tej swobody, umiejętności bycia na wybrzeżu, mogę wsłuchiwać się we wspomnienia osób, które opowiadają mi o czasach okupacji. Pomyślałam wtedy, że czymś, o czym na pewno napiszę w mojej pracy i bez czego nie da się zrozumieć wpływu militaryzacji na życie ludzi wybrzeża i ich relację z krajobrazem, jest *coastal literacy* – znajomość wybrzeża, kompetencja życia właśnie tutaj. Dla mnie – nabyta, wybrana, bo przecież urodziłam się we Wrocławiu, ale potem wyjechałam na północ i ciągle tam wracam. Dla ludzi stamtąd – konieczna do przetrwania, przekazywana i aktualizowana z pokolenia na pokolenie. Tymczasem w czasie okupacji najprostszy sposób na dostanie się do sąsiedniej wioski, czyli spacer plażą, był zabroniony. Jak to było słyszeć morze zza wydm, ale nie móc się do niego zbliżyć? Jak czuł się rybak, który dotychczas sam decydował, kiedy i jak łowi, a wraz z nastaniem radzieckiej okupacji nie mógł samodzielnie wypływać na morze, a jedynie dołączyć do kołchozu rybackiego? O tym rozmawiałam z mieszkańcami i mieszkankami Wybrzeża oraz innymi osobami, które pamiętają je z czasów okupacji. Oprócz tego spacerowałam i robiłam zdjęcia fantomowej infrastruktury z czasów radzieckich.

Moje badania magisterskie staram się prowadzić, myśląc od razu o tym, by poza efektem końcowym równolegle tworzyć też zasób – materiały, z których mogłyby czerpać

badaczki i badacze w przyszłości. W teren wciąż jeździmy tak bardzo solo, co sprawia, że duża część procesu gromadzenia danych, a także ich analizy, nie ma szans ujrzeć światła dziennego – zostaje w dziennikach i głowie badaczki. Skoro zaprzęgamy do interpretacji naszych danych teorie krytyczne, które bardzo często dotyczą tematu dostępności, uważam, że warto postarać się o nią również w praktyce. Antropologia pseudoromantyczna, indywidualistyczna, nietłumacząca, skąd i jak gromadzi informacje, nie dźwiga własnych obietnic. A samotniczość w terenie funkcjonuje tylko na piśmie – w rzeczywistości tworzymy przecież sieci, zyskujemy na miejscu osoby sojusznicze – choćby tłumaczki i tłumaczy, lokalne kontakty, osoby życzliwe, które współtworzą nasze badania i którym jesteśmy winne powroty. To, co gromadzimy, powinno być więc dostępne dla osób, z którymi te badania robimy i dla kolejnych badaczy i badaczek, które w ten teren wybiorą się z własnymi pytaniami.

Tematy badawcze znajduję w przestrzeni, w której się poruszam.

Muszę mieć do niej jakieś klucze, umiejętność jej odczytywania. Wiem, że nie dla każdej osoby przestrzeń jest tak istotna – dla kogoś ważne będą relacje, a krajobraz drugorzędny. W tym aspekcie każda etnografia jest oczywiście autorska – bo to nasze wartości, nasze podejście i nasze umiejętności rozumienia składają się na to, jak patrzymy na dane zagadnienie. Nie zmienia to jednak faktu, że tworzymy wiedzę, którą warto się dzielić. Choćby dlatego, że inne spojrzenia mogą wyprowadzić z niej nowe sensy. Myślę, że miło byłoby patrzeć, jak wytworzone przeze mnie materiały wchodzą w skład innych projektów, zyskują nowe znaczenia i odczytania – dzięki kolejnym przyglądającym się głowom.



Kilka słów o wyzwaniach etyczno-merytorycznych przy badaniu polskiej transformacji

MATEUSZ SKORATKO

Prowadzenie badań antropologicznych jest jednym wielkim wyzwaniem etycznym. Filozofia wyrosła z XX-wiecznej myśli feministycznej przekonuje nas bowiem, że właściwie wszystko w naszym otoczeniu jest polityczne. Czy antropolog jest zatem i politologiem? Być może. A może antropologia to po prostu empiryczny wymiar filozofii? Pytań jest wiele, pewnym natomiast pozostaje, że każdy antropolog dotyka sfery polityczności w swoich badaniach, niezależnie od tego, czy tego chce, czy nie.

Obierając za temat swojej pracy licencjackiej pamięć o transformacji wśród osób, które dorastały w jej okresie, wiedziałem, że wchodzę na grząski grunt. Z jednej strony przemiany lat 90. i związane z nimi traumy nie

zostały jeszcze dobrze przepracowane, a pamięć – związana czasem z olbrzymim cierpieniem – wciąż ma potencjał aktywowania żywych emocji. Z drugiej – istnieje grupa osób, która była jej beneficjentami – czy to faktycznymi, czy zinterpelowanymi do tej roli przez ideologię neoliberalną – i jest gotowa bardzo agresywnie jej bronić. Podział ten nie jest oczywiście sztywny – wiele osób sytuowało się gdzieś pomiędzy – pokazuje jednak, z jakimi skrajnościami przyszło mi się mierzyć.

W takim asambliżu musiałem znaleźć miejsce dla siebie jako antropologa. Moją rolą w czasie wywiadów było poruszać się jakoś między tymi narracjami, próbując przy tym wyjść poza własne polityczne sympatie. Mam bardzo krytyczny stosunek do

reżimu ekonomicznego, zainstalowanego tu w czasie transformacji. Chętnie też dokonałbym „skoku w lewo” i utożsamiał się z opowieściami osób, które względem Balcerowicza i jego ekipy żywią same najgorsze uczucia. Momentami zresztą zdarzało mi się to robić, szczególnie wtedy, gdy rozmówca prezentował światopogląd zbliżony do mojego. Pod koniec prowadzenia badań uznałem jednak, że ze względu na jakość materiału, lepiej będzie unikać takich sytuacji. Bazując na świadomości własnych zachowań w czasie rozmów z osobami, z którymi nie dzieliłem sympatii politycznych, wypracowałem sobie zestaw technik, których starałem się następnie używać już bardziej uniwersalnie.

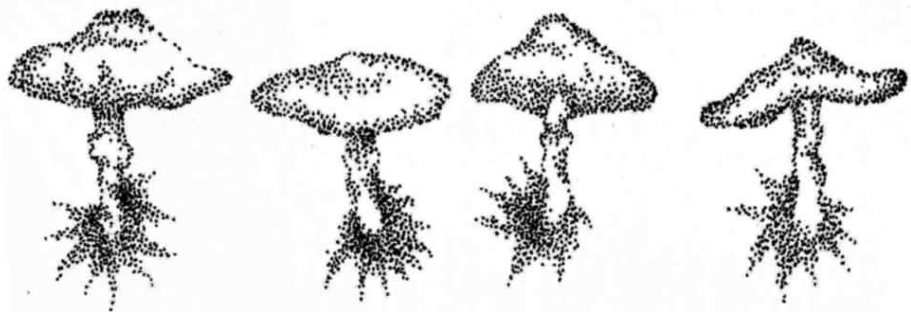
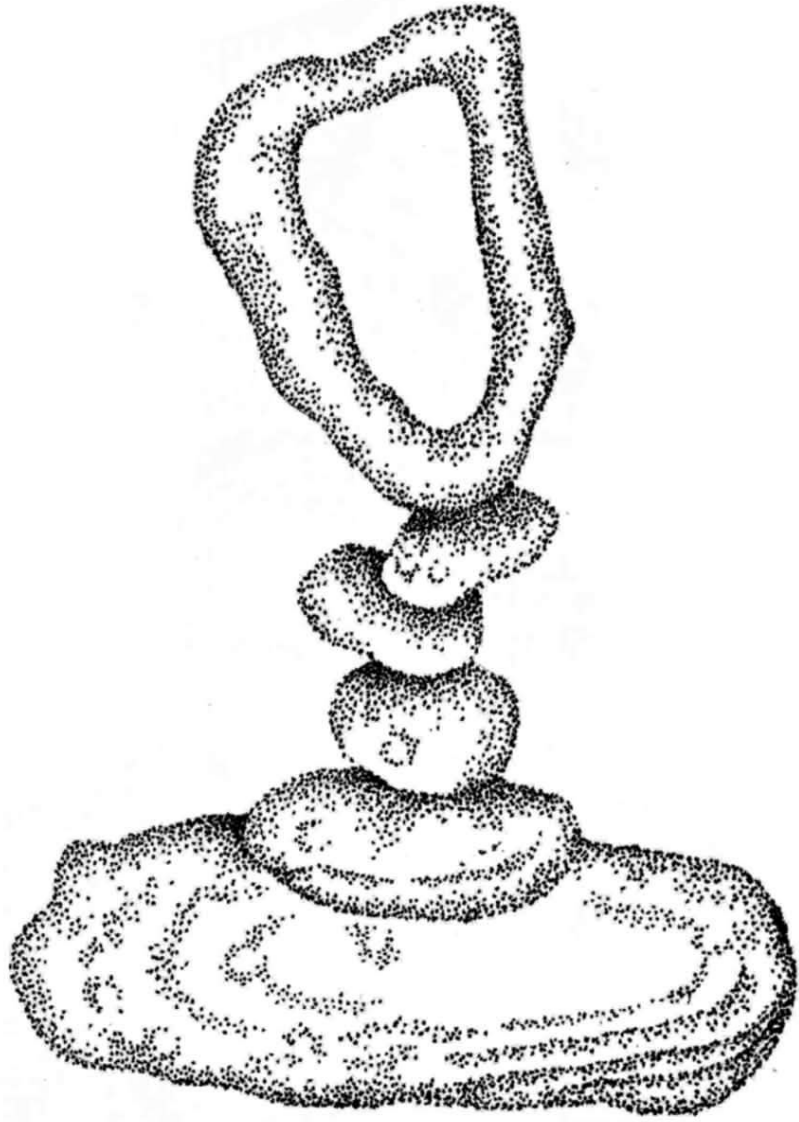
Po pierwsze, nawiązywałem rozmowę tematami pozornie luźniej związanymi z polityką tamtych lat, na przykład pytając o wspomnienia dotyczące przemian krajobrazu, czy życia rodzinnego. Ponieważ pracowałem w paradygmacie polityczności jako zjawiska wszechobecnego, odpowiedzi na te pytania pozwalały mi dowiedzieć się wiele zarówno na temat rozmówcy, jak i szerszych zjawisk społecznych tamtego okresu. Rozmówcy zresztą sami, przy okazji opowiadania o tych sprawach, wiele razy przechodzili do wątków łączących się z klasycznie rozumianą polityką.

Po drugie, gdy w rozmowie pojawiały się wątki związane z bezpośrednią oceną transformacji, starałem się przede wszystkim słuchać: pilnie, ale niekoniecznie aktywnie. Może wydawać się to banalne, ale nie do końca takie jest. Rozmówcy często bowiem oczekują, że jakoś odniesiemy się do przyjmowanych przez nich stanowisk

i wygłaszanych opinii. Nawet drobne gesty, takie jak skinięcie bądź pokiwanie głową, mimowolne „mhm” albo „eh”, mogą mieć bardzo duże znaczenie dla dynamiki wywiadu. Twarz pokerzysty bywa więc czasem koniecznością: sposobem na uniknięcie niezręczności i zachowanie jakości materiału. Jednocześnie ważnym jest, żeby wiedzieć, kiedy ją zastosować. Trwanie w takiej postawie przez cały wywiad mogłoby bowiem okazać się jeszcze bardziej niezręczne i sprawić, że nasz rozmówca mógłby sobie pomyśleć, że nas nie obchodzi.

Po trzecie, gdy rozmówca próbował już całkiem otwarcie zaangażować mnie w rozmowę, mówiłem mu, że moim celem jest poznanie jego opinii i zadawałem jakieś pytanie dodatkowe, pogłębiające omawianą przez niego aktualnie kwestię. Pomagał mi w tym fakt, że jestem osobą urodzoną w 2003 roku, a więc w okresie przemian ustrojowych nie było mnie jeszcze na świecie.

Oczywiście wypracowanie tych technik zajęło mi trochę czasu. Doszedłem do nich właściwie pod sam koniec zbierania wywiadów. Wcześniej nieraz dawałem się wciągnąć w ożywioną dysputę, zdradzając przy tym, jakie mam poglądy – szczególnie gdy rozmówca podzielał podobne do moich wartości. Z perspektywy czasu mam jednak wrażenie, że gdybym korzystał z tych metod od początku, mógłbym wydobyć z tych wywiadów znacznie więcej. Interlokutorzy mieliby bowiem przestrzeń do pełniejszego uzasadniania swoich stanowisk, bez zakładania, że skoro jesteśmy po tej samej „stronie mocy”, to pewne rzeczy są dla mnie oczywistością i nie trzeba mi ich specjalnie tłumaczyć.





Prawdziwy początek podróży

(zdjęcia:
Helena Pyżanowska)

HELENA PYŻANOWSKA

Niewiele mówi się o przygotowaniach do podróży, a przynajmniej nie tyle, ile o podróży samej. A przecież to od tych chwil, w których rodzi się w naszej głowie ciekawość, plan, idea – właśnie od nich zależy wszystko. Zgoda, może nie w s z y s t k o , ale znaczna większość tego, co później nazwiemy podróżą. Tego, o czym będziemy pisać, opowiadać; do czego będziemy powracać; snuć się po wspomnieniach niby uliczkach, na których jeszcze tak niedawno stawialiśmy stopy, rozrzucając wokół ułamki naszej obecności, jakby to były fragmenty naskórka. Czyniąc z tych miejsc coś już nie tak całkiem obcego – oswajając je.

Lecz kiedy miejsce przestaje być obce? Prawdę mówiąc, nie wiem. Coś jednak mówi mi, że dzieje się to już przed podróżą właśnie: coś przecież wyrwało nas ze stanu bycia t u t a j (cokolwiek to „tutaj” oznacza) i przekierowało nas ku temu, co jest tam (czymkolwiek owo „tam” jest w istocie). Wprawdzie w ostatecznym rozrachunku okazuje się, że nigdzie nie ma ani „tam”, ani „tutaj”, donikąd bowiem przecież nie podróżujemy – zawsze tylko pozostajemy w tym właśnie „tutaj”, jedynej terazniejszości danej nam w tym świecie. W tym, jak sędzę, tkwi najwyższe zadanie etnografa: osiągnąć zgodność ze swoim istnieniem wszędzie, ten rodzaj adekwatności, jaki daje zetknięcie się ze światem w czułości i jego współtworzeniu. Być może jednak etnograf przestałby być wtedy etnografem. Ale to chyba także cel mistyka, od którego badacz oczywiście się różni – choć dużo mniej, niż by się to zdawało na pierwszy rzut oka. Wprawdzie zauważenie ich wspólnego celu przychodzi z czasem. Mimo wszystko, zanim uzna się, że całe nasze „tutaj” istnieje także w każdym zakamarku „tamtego” świata, łatwiej i wygodniej jest przyjąć, że oto jest się „tutaj” i wyrusza się ku „tam”.

Najpierw jest więc pragnienie: opuszczenia swojego „tutaj” ku „tam” nieznanemu, jeszcze otwartemu, dopiero się dla nas wykluwającemu. Pragniemy tak bardzo, że aż drżą nam palce – i przekonani przez pragnienie samo, kupujemy bilet na pociąg, by wsiąść i odjechać, i p o z n a ć. Etnograf, choćby był mistrzem buddyjskim na drodze do bliskiego już osiągnięcia stanu oświecenia, nie może wyzbyć się pragnień, nie umie nie mieć oczekiwań: zamierza przecież odbyć podróż, a istotą podróży jest poznanie.





I teraz jawi się przed etnografem największa trudność: pragnąć – i czekać. Oto jest prawdziwy początek podróży.

I być może to właśnie w owym czekaniu tkwi najważniejsza szczelina. Zanim pozwolimy pytaniom wprowadzić w ruch nasze wewnętrzne zegary, zanim jeszcze przejdziemy od razu do działania i ruszymy ku „tam” – teraz wciąż jesteśmy „tutaj”, czyniąc je sobie poddanym, rzeźbiąc w nim nieprzerwanie własny los. Spróbujmy więc pozostać w nim jeszcze przez tę krótką chwilę. Odnaleźliśmy drzwi: teraz trzeba wziąć głęboki oddech, zanim się przez nie przejdzie. Nie należy się śpieszyć. Można rozejrzeć się wokół, przypatrzeć framudze, zdobieniom klamki, kołatce w kształcie Meduzy. Nie patrzeć jej w oczy – lecz zwrócić się ku sobie. Czekać – czekać wciąż, pragnąc przejść dalej, lecz przecież tego nie czyniąc – jeszcze.

Czekać – ale na co? Być może na finalny akt czegoś w nas, co potrzebuje zakończenia, zanim wyruszy dalej.

(Jeżeli zamkniemy oczy, łatwiej będzie usłyszeć cichy głos, który podpowie nam, kiedy wykonanie pierwszego ruchu będzie najwłaściwsze. Oto, co ważne: powolność).

A potem, bez oglądania się za siebie, wyruszyć.

Teren z za biurka

ANNA MORUS

W badaniach etnograficznych jednym z kluczowych elementów jest teren. Kiedy myślimy o etnografii, wyobrażamy sobie badacza, jadącego w mniej lub bardziej egzotyczne miejsce, z notesem pod pachą, kapełuszem na głowie i podeksycytowaniem w oczach. Widzimy osobę rozmawiającą z „lokalsami”, chodzącą zwawym krokiem od domu do domu, zadającą napotkanym osobom pytania o ich codzienne życie. Mało kto jednak wyobrazi sobie etnografa zakopanego w papierach, książkach, artykułach z gazet czy ślęczącego przed komputerem i przeglądającego internetowe fora. Przecież to w ogóle nie jest teren!

Czy jednak naprawdę musimy jechać gdzieś daleko, żeby prowadzić badania etnograficzne? Czasem przecież terenem staje się literatura, książki i gazety. A czasem warto zabrać się za netnografię i poszukiwać materiałów do badań w wirtualnej przestrzeni.

Ja sama podczas własnych badań spędziłam wiele czasu na analizowaniu tekstów, które służyły mi nie jako podstawa teoretyczna, ale jako materiał badawczy. Początkowo nie mogłam pozbyć się przeświadczenia, że moje badania są niepełne, a nawet gorsze, no bo przecież nie „idę” w teren i nie „rozmawiam z ludźmi”. Jednak interakcja z tekstami, także przecież

przez ludzi tworzonymi, może być równie wartościowa, co rozmowa.

Wbrew pozorom dużą część pracy etnografów i antropologów stanowi przekopywanie się przez sterty literatury, teorii i tekstów źródłowych. Często badacze i badaczki spędzają na tym długie godziny, czasem nawet znacznie więcej czasu niż na „konwencjonalnych” badaniach. Jednak szukanie „oparcia” dla pracy w dziełach innych osób to jedno, a czynienie z nich głównego obiektu badań – to już zupełnie inna bajka. Kiedy tekst, niezależnie od tego, czy pisany odręcznie, drukowany, czy zamieszczony w sieci, staje się materiałem badawczym, analizujemy go w nieco inny sposób. Nie patrzymy na samą treść, lecz próbujemy „czytać pomiędzy wierszami”, by odnaleźć „antropologiczne” sedno – co takiego autor miał na myśli? Dlaczego napisał właśnie to? I dlaczego właśnie tak, a nie inaczej? Co za tym mogło stać? Przez tekst „wgryzamy” się w szerszy kontekst. To trochę tak, jakbyśmy wysłuchiwali monologu rozmówcy (tylko że nie możemy mu zadać na bieżąco kolejnych pytań...).

Pomimo niesamowitego nacisku ze strony etnografów na prowadzenie badań w terenie, ta niekonwencjonalna metoda przeżywa rozkwit wraz z popularyzacją netnografii. Ja również zachęcam do czerpania materiałów badawczych z tego nie-fizycznego tere-

nu. Choć wejście w niego może być również trudne, oto kilka porad z mojego doświadczenia, które (mam nadzieję) mogą nieco ułatwić to zadanie

1. Zawsze sprawdzaj źródła – to uniwersalna porada do wszystkiego, co wymaga interakcji ze słowem pisanim, szczególnie w netnografii. To, „gdzie jesteś”, może dużo ci powiedzieć o kontekście danej wypowiedzi i być szczególnie istotne dla jej analizy. Niezależnie, czy to serwis internetowy, gazeta, książka, czy cokolwiek innego – warto sprawdzić, co to za medium i czym się charakteryzuje. Pomoże to również oczywiście unikać fałszywych informacji (choć w niektórych kontekstach samo ich istnienie może być ciekawe poznawczo).

2. Sprawdzaj autorów – odnosi się to przede wszystkim do tekstów publikowanych (np. w gazetach), bo przecież raczej nie sprawdzimy każdego internauty, na którego komentarz natkniemy się w sieci. Ale podobnie, jak z tekstami, które czytamy na zajęciach – znajomość autora, może dużo nam powiedzieć o samym tekście i przydać się na dalszym etapie analizy.

3. Sprawdzaj, co działo się dookoła publikacji – komentarze pod postem, sekcja forum lub czat na żywo w czasie transmisji wideo. Wszystko to są cenne źródła informacji, dodatkowo umieszczające treść w kontekście społecznym. W przypadku książek, gazet czy innych mediów niezamieszczonych w sieci (lub wydanych dawno temu), sprawdzaj publikacje na temat publikacji... choć powstaje z tego mała „materiałowa stonoga”, szybko przekonasz się, że dokładne

jej przeanalizowanie będzie nie tylko przydatne, ale może wręcz przynieść ci dużo satysfakcji. Do tego warto połączyć teren teoretyczny z terenem fizycznym i popytać osoby ze środowiska – lub po prostu pamiętające moment publikacji – o to, jak pamiętają dyskusję wokół jej wydania.

4. Kula śnieżna sprawdza się i tutaj – kiedy zagłębisz się w analizę mediów, czy to artykułów, książek, czy przestrzeni internetowych, szybko znajdziesz się w całej lawinie odnośników, notek, „polecajek” i tym podobnych. Wbrew pozorom jest to bardzo rozległy teren, w którym z całą pewnością nie zabraknie ci materiałów. No chyba, że wybierzesz sobie n a p r a w d ę niszowy temat.

5. Powoli, ale do przodu – w momencie „zanurkowania” w tym rozległym krajobrazie, szczególnie w przypadku netnografii, szybko możesz poczuć się, jakbyś szedł z motyką na słońce. Nie zniechęcaj się tym jednak – warto spróbować różnych metod porządkowania treści i znaleźć taką, która najlepiej dla ciebie działa. Rozbijanie materiałów na małe porcje, robienie skrupulatnych notatek czy map myśli – każda metoda, która ułatwi ci proces badań, jest dobra. Powoli, ale do przodu!

Zagłębianie się w teren „zza biurka” może być świetnym sposobem prowadzenia badań lub uzupełnieniem metod bardziej „tradycyjnych”. Jeśli zabierasz się za ten rodzaj pracy i boisz się, że ten typ badań będzie niepełny lub gorszy, powtarzaj sobie jak mantrę:

To też jest prawdziwa etnografia!

Notatka terenowa.

17 listopada, poniedziałek,
godz. 16:20

Hala Mirowska, pasaż handlowy,
bazar, stoiska z kwiatami

NOX SZPRYNGWALD

Jest połowa listopada, więc już ciemno na dworze. W środku hali zaskakująca cisza: brak muzyki, słychać odgłosy wózków, kroków czy ewentualnych rozmów. Brak widocznego pośpiechu, jakby czas się zatrzymał, a ludzie nie mieli innych rzeczy do załatwienia. Mimo godziny szczytu niektóre sklepy już się zamykają. Usługi nie są bardzo zróżnicowane – pasmanterie, sklepy z pierdólkami, zauważyłam też Poczta Polska, jeden duży sklep spożywczy, usługi dorabiania kluczy. Nie ukrywam, że spodziewałam się większej różnorodności. Klientki to głównie seniorki, często w grupach, niekiedy zdarzają się starsze małżeństwa. Mniejszą grupę stanowią ludzie w wieku 40–50 lat, nie zauważyłam jednak nastolatków czy młodych dorosłych. Twarze kompletnie bez wyrazu, tylko u niektórych widoczne jest zmęczenie. Klientów jest niewiele, większość ludzi stanowi jednak obsługa. Budynek w środku przypomina PRL-owską surowość – niedbale pomalowane ściany, niekiedy przebija się na nich charakterystyczny dla tamtych czasów turkusowy kolor. Z niewiadomych mi powodów, minęłam kilka miejsc, do których dostęp odcięty był przez rozwieszoną taśmę. W dwóch przypadkach były to zejścia schodami, co zdziwiło mnie, ze względu na ich bardzo dobry stan wizualny. Wzmocniło to jedynie mój odbiór tej przestrzeni jako dziwnej i nietypowej. Spodziewałam się większego ruchu

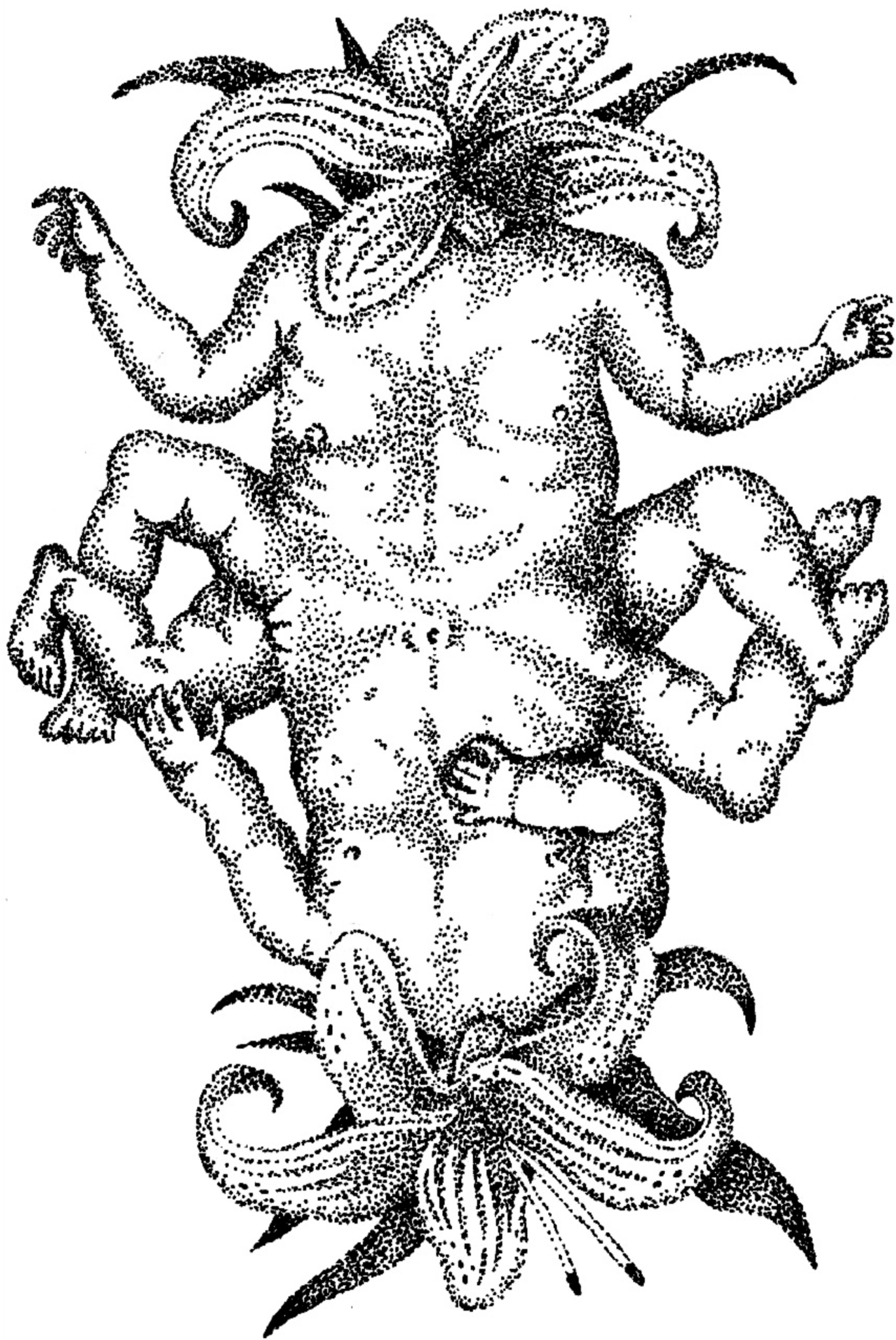
w takim miejscu. Zgiełk słyszalny jest dopiero po wyjściu na ulicę – ludzie śpieszący się do domów, biegnący na tramwaj. Niektórzy parkują pod halą, ponieważ mieszkają niedaleko – słyszalne są westchnięcia ze zmęczenia. A to dopiero poniedziałek.

Później wybrałam się do pasażu handlowego. Tu również usługi nie są zróżnicowane – sprzedaż ubrań (jak na typowym bazarze) oraz manicure. Salony stoją dokładnie obok siebie – mają różne nazwy (przez co zakładam, że to konkurencja), co w obecnej sytuacji dużej monopolizacji rynku robi wrażenie. Spotkanie tylu drobnych, konkurujących przedsiębiorców w jednym miejscu, w takim zagęszczeniu daje do myślenia. Tutaj też klientela jest niewielka. Kilka pań na fotelach, w różnych „salonikach”, nigdy kilka osób w jednym. Sprzedawcami i paniami wykonującymi usługi są jedynie Azjaci. Wyglądają na przygnębionych, ale przyzwyczajonych do małego ruchu. Niektórzy panowie patrzą na mnie spode łba. Nie czułam się zaproszona ani pożądana w tym miejscu, może ze względu na godzinę.

Następnie odwiedziłam strefę z owocami. Tutaj sprzedawcy to Polacy, którzy widać, że znają się między sobą, ale też, że nie chcą już tu dłużej być. Niektórzy zamykają swoje stoiska, inni dalej wytrwale porządkują owoce, by prezentowały się jak najlepiej. Klientów widziałam może dwóch, głównie przy wejściu. Widocznie nie jest to godzina na robienie zakupów. Minęłam pana, który pytał sprzedawczyni, czy nie chce kupić od niego sera. Sprawiał wrażenie pijanego lub jakby miał podchodzącą pod beczelność pewność siebie. Kobieta próbowała go zbyć, dało się odczuć, że nie jest zadowolona z jego obecności. Może widzi go nie pierwszy raz?

Przed halą mieści się kilka stoisk z kwiatami. Kwiaty w różnych kolorach, cennach, kilka bukietów. Na większości stoisk sprzedawcami są kobiety, wydaje mi się, że tylko jednym z nich zajmuje się starszy pan z siwymi, krótkimi włosami. Przechodnie niekiedy zatrzymują się, kilka osób odchodzi z zakupionymi już kwiatami. Idą spacerkiem, delektując się dużym wyborem i szeroką gamą kolorów. Zaledwie kilka metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, zaczyna się zgiełk, pośpiech i ożywienie. Jest to ciekawy kontrast, tak jakby dopiero po przejściu przez pasy człowiek znajdował się w centrum stolicy i największego miasta w Polsce. Daje się odczuć napięcie między halą a światem na zewnątrz. Myślę, że gdybym była w samej hali dłużej, to mogłabym się poczuć przebodźcowana – każdy krok odbijał się głośnym echem. Przez przyzwyczajenie do ciągłego zgiełku w takich sytuacjach, człowiek zaczyna czuć niepokój, kiedy nie odbiera takiej dużej ilości bodźców. Zmienia się to w jeden duży bodziec, który zaczyna skłaniać do rozmyślań na temat życia codziennego. Potrafi to wywołać duży dyskomfort – i tak było właśnie w moim przypadku.

To ciekawe, jak miejsce położone w zasadzie w centrum miasta, może żyć swoim, spokojniejszym i wolniejszym życiem. W tamtej chwili wydawało mi się to wręcz magiczne, jakby halę otaczała jakaś bańka, w której wszystko działa trochę inaczej niż kilka metrów dalej. To doświadczenie przypomina mi, dlaczego warto się czasami zatrzymać i zobaczyć, jak miejsca, w których często jestem, rządzą się swoimi prawami i jak wiele jeszcze o nich nie wiem.



Kazimierz Łyszczyński Superstar albo Ateistyczny teatr misteryjny

EWA MAZGAJSKA

Byłam trochę spóźniona i miałam nadzieję, że tak jak każde wydarzenie w Warszawie, to również zacznie się z lekkim poślizgiem. Przy Świętojańskiej minęłam mima, tłumy turystów pod archikatedrą św. Jana Chrzciciela, sklepy, osoby zebrzące, budki z goframi i lodami. To był piękny dzień w pięknym słońcu. Rynek w Warszawie tętnił życiem. Rozłożyły się już stoły z parasolami restauracji, prawie na środku stał kataryniarz i uchylał kapelusza dziewczynce zachwyconej jego instrumentem. Grupki turystów robiły sobie zdjęcia z syrenką.

W tym pogodnym chaosie próbowałam wypatrzeć trupy teatralnej. Dostrzegłam ją, wchodząc w głąb rynku. Aktorzy ubrani byli w stylizowane na siedemnastowieczne kostiumy, widać podest, grupkę ludzi, organizatorów testujących sprzęt. Dotarłam na miejsce.

W dniach 28–29 marca 2026 roku odbyły się w Warszawie Dni Ateizmu. Wydarzenie, na którym wylądowałam, było upamiętnieniem ścieżki pierwszego polskiego ateisty, Kazimierza Łyszczyńskiego (1634–1689). Już od kilkunastu lat jego śmierć jest inscenizowana na warszawskim rynku Starego Miasta.

Fascynujące, prawda? Też o tym nie wiedziałam. Dopiero pół roku temu moja przyjaciółka – również etnolożka – powiedziała mi, że jest coś takiego, i że w zeszłych latach w rolę Łyszczyńskiego wcielali się m.in. Robert Biedroń czy Joanna Senyszyn.

Większość czekających na wydarzenie widzów została obdarowana ateistycznym balonem. Pan z Fundacji, którego poprosiłam o balona, powiedział – tak jakby chciał zastrzec legalność tego działania – że otrzymanie balona jest dobrowolne i możliwe, jeśli ktoś się zgadza z przekazem, i nie ma charakteru agitacji. Balony m.in. z napisem „Nauko ufam Tobie” były popularne na widowni i nie dało się oglądać inscenizacji bez ich tasiemek w zasięgu wzroku.

W końcu wydarzenie rozpoczęło się – okazało się, że inscenizacja składa się z odczytu dotyczącego życia i myśli Łyszczyńskiego przeplatane go kilkoma scenkami-improwizacjami odgrywanymi przez aktorów. Kulminacją było oczywiście ścieżcie. Pojawiła się również oprawa muzyczna w formie klamry: aktorka grająca jedną z zakonnic zaśpiewała

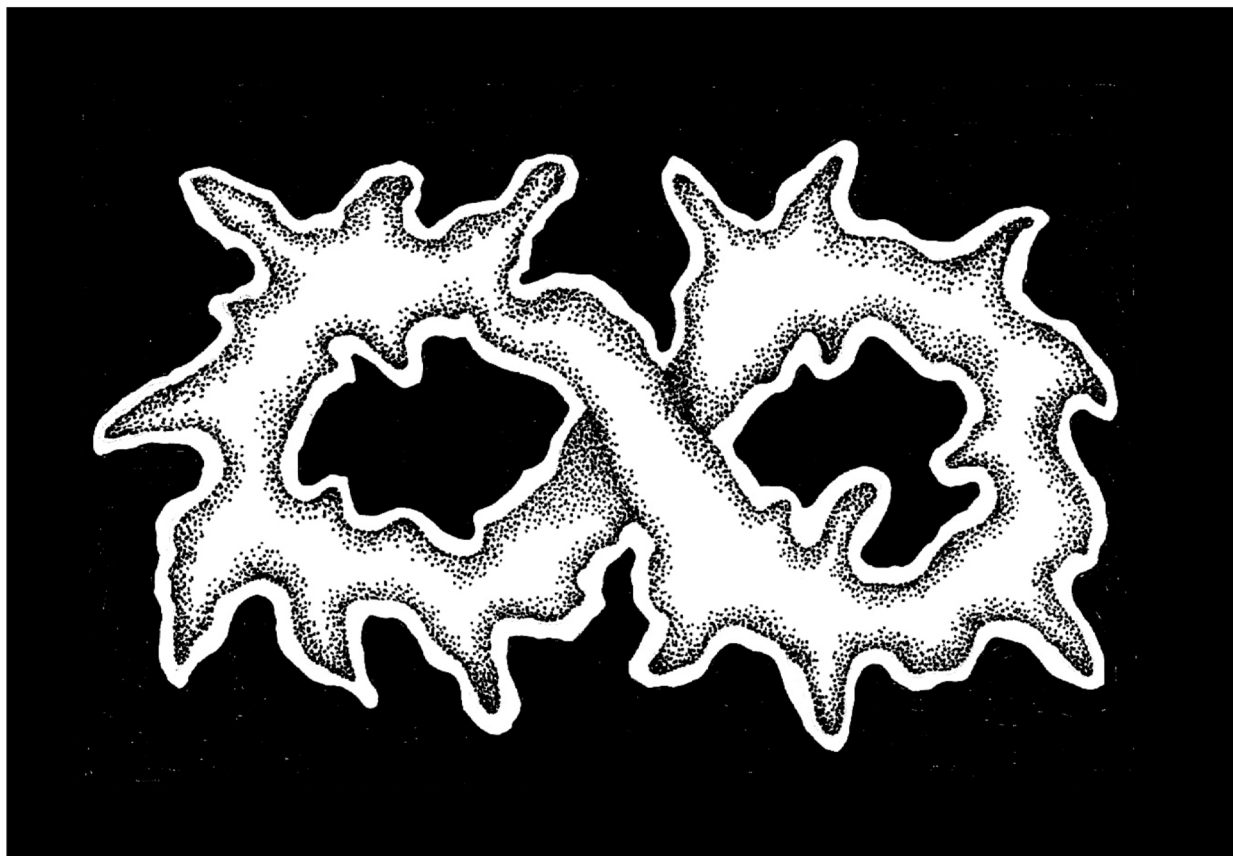
dwie katolicko-krwiożercze piosenki (parodie „Like a prayer” Madonny oraz „Bloody Mary” Lady Gagi), które rozpoczęły i zakończyły część teatralną.

Wydarzenie wzbudzało ciekawość zagranicznych turystów, którzy dołączali do widowni. Wtedy życzliwi polscy ateści półgłosem tłumaczyli po angielsku, co się dzieje, symultanicznie przekładając, co właśnie jest mówione ze świeckiej ambony. Turyści nieraz byli zafascynowani, może nawet bardziej od kilkudziesięciu Polaków i Polek na widowni.

Oglądając ten spektakl, myślałam o swoim licencjacie na etnologii, który dotyczył pamięci o ks. Wojciechu Blaszyńskim (1806–1866), duchownym z Choczołowa, który w swojej rodzinnej wsi wybudował wielki neogotycki kościół, ponadto zapoczątkował w regionie ruch kobiecej katechezy świeckiej. O ks. Blaszyńskim powstała sztuka teatralna, która została w Choczołow-

ie wystawiona przynajmniej dwukrotnie, raz po wojnie i potem w latach 90-tych. Jej konstrukcja składała się z udratyzowanych epizodów z życia ks. Blaszyńskiego, opatrzonych zewnętrznym komentarzem ze strony współczesnego autorowi narratora.

Analogicznie tutaj scenki były poprzecinane garścią informacji na temat Łyszczynskiego. Wyłaniał się z nich jako osoba nadzwyczajna: żołnierz, eks-jezuita, polityk, sędzia i filozof, o którym z szacunkiem wypowiadali się współcześni mu mężowie. Jego śmierć prawdopodobnie była wynikiem intrygi i chciwości sąsiada, który ukradł rękopis jego dzieła, *O nieistnieniu Boga*, i złożył donos na Łyszczynskiego. (Według prawa donosiciel otrzymywał za taką przysługę wobec państwa część majątku skazanego). Traktat ten wyprzedził w śmiałości ateistycznych tez filozofię europejską o blisko dwieście lat. Filozofom wieku dziewiętnastego oszczędzono jednak publicznej egze-



kucji i późniejszego spalenia ciała na stosie, jak stało się to z Łyszczyńskim.

Najciekawsze teatralnie w tym wydarzeniu były dla mnie dwa aspekty. Zamarkowanie udanego ścięcia człowieka – po zamachnięciu się ostrzem przez kata, rzeczywiście po rynku potoczyła się głowa, chyba manekina. Performatywność była osiągnięta przez prawdziwe odegranie egzekucji. Ponadto miałam dość luźne skojarzenie z różnymi formami teatralnymi, między innymi commedia dell'arte, półimprovizowaną formą teatralną, wywodzącą się z siedemnastowiecznych Włoch, która bazowała na typach charakteru. Również tutaj biskup robił biskupie żarty, a zakonnica – zakonne. Ewidentnie twórcy bazowali na typach postaci i humorze danej sytuacji. Przez humorystyczny wymiar ich podejścia do postaci typ aktorstwa – zdystansowany od swojej roli – przypominał mi troszkę brechtowski teatr epicki. Tak jak w tym rodzaju teatru, konstrukcja inscenizacji bazowała tu na ciągach wydarzeń, a nie strukturze dramatycznej (napięcie nie narastało), tematyka zaś obejmowała problemy polityczne w celu zajęcia przez widownię stanowiska wobec nich. Gdyby to jednak rzeczywiście był teatr epicki, to bardzo przewrotny.

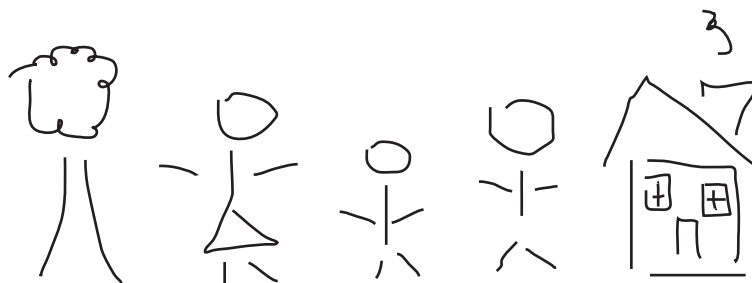
To jednak nie koniec skojarzeń z historycznymi formami teatralnymi. Formuła inscenizacji ścięcia Kazimierza Łyszczyńskiego – raczej nieświadomie – nawiązywała do średniowiecznego teatru misteryjnego: grupa nieprofesjonalnych aktorów upamiętnia wydarzenie z dziejów katolicyzmu w miejscu publicznym, na rynku miejskim, sztukę traktując jako narzędzie społecznego upamiętnienia wielkiej postaci. Sytuacja różni się od wystawień dzieł pokroju *Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim* chociażby tym, że w Polsce mało kto

słyszał o Łyszczyńskim. Jest to jednak anty-hagiografia: żywot męczennika za niewiarę, wystawiany prawie dokładnie w dzień jego męczeństwa.

Kiedy analizuję to wydarzenie w szerszym kontekście społecznym, wydaje mi się ono jeszcze ciekawsze. Rosnąca grupa społeczna ateistów rzadko zajmuje przestrzeń publiczną tak, jak robią to katolicy. A już zupełnie nie widuje się działań performatywnych w typie teatralnym. Zazwyczaj polski ateizm objawia się w zaniechaniu działań – nie zaś aktywnym, twórczym uczestnictwie. Podobnie zresztą sekularyzm bardzo często jest rozumiany jako brak, dziura po świecie wypełnionym boską obecnością, a nie wykształcenie nowych zjawisk. No i w obiegowej opinii Polska, albo raczej Rzeczypospolita Obojga Narodów była „państwem bez stosów”. To nie jest prawda: procesy o czary były rzadsze niż w Europie Zachodniej, jednak istniały i kończyły się śmiercią niewinnych ludzi. Zainteresowanych odsyłam do np. artykułu Jacka Wijaczki: *Nieprawdziwy obraz czarownic i procesów o czary w Polsce z 2025 roku*.

Jeszcze trzysta lat temu, czyli w czasach, które (nieliczne) warszawskie budynki i drzewa pamiętają, herezja była karana śmiercią, a wydarzenia podobne do inscenizacji egzekucji Kazimierza Łyszczyńskiego nie mogłyby mieć miejsca. Wolność słowa i ekspresji artystycznej to świeże koncepcje. Podobne przedsięwzięcia przypominają, jak bardzo świeże.

ZESPÓŁ ETNOZINA



Koordynatorka Etnozina:

Aleksandra Tarka

Redakcja tekstów:

Mikołaj Witkowski

Selekcja tekstów:

Maria Juźków, Aleksandra Tarka, Mikołaj Witkowski

Autorzy tekstów:

Małgorzata Harasimowicz, Antoni Jankowski, Wiktoria Kraszeninnikowa, Joanna Malinowska, Ewa Mazgajska, Anna Morus, Dominika Nikiel, Józek Nowosielski, Helena Pyżanowska, Mateusz Skoratko, Karolina Szymczak, Nox Szpryngwald, Stanisław Szyszkowski, Aleksandra Tarka

Autorka okładki:

Lola Tosia Lisicka

Autorka ilustracji:

Martyna Sitko (@martynapoke)

Skład Etnozina:

Wiktoria Kraszeninnikowa
Aleksandra Tarka

Jeśli masz pomysł na tekst, pytanie albo masz chęć z nami współpracować przy tworzeniu Etnozina – napisz na naszego maila: etnozin@gmail.com

